6 STRON

W numerze: SPK w sprawie „opornych"

CENA: 6 PENSÓW

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — POLISH WEEKLY — PRICE SIXPENCE (IN USA AND CANADA 5c)

Wychodzi co tydzień — Dnia 27 września 1947 r — Rok IX. Nr. 38

POD ŚCIANKĘ SĄDU

Osiem wyroków śmierci i sześć więzienia dożywotniego lub 10 do 15 lat w tzw. rozprawie sądowej w Krakowie od 11 sierpnia do 10 września 1947, przeciw członkom ruchu podziemnego Wolność i Niepodległość z Fr. Niepokólczyckim i członkom Polskiego Stronnictwa Ludowego ze St. Mierzwą na czele, wywołało wstrząs grozy, chociaż kaźń i morderstwo tzw. sądowe stało się obecnie w Polsce zjawiskiem codziennym.

Dwuletnie nieprzerwane pasmo tych dziko uproszczonych sposobów rozprawiania się z ruchami politycznymi i zagłady przeciwników politycznych oraz w ogóle ludzi niedogodnych rozpoczęło się w tym roku 10 stycznia 1947 skazaniem na śmierć Ksawerego Grocholskiego za znajomość z ambasadorem brytyjskim p. Cavendish-Bentinck'em i wlokło się ponuro, miesiąc za miesiącem i tydzień za tygodniem, ciągle nowymi tzw. rozprawami sądowymi.

Teraz znowu w ciągu ostatnich tylko trzech miesięcy, lipiec - sierpień - wrzesień 1947, toczyły się, poza pomniejszymi, następujące znaczniejsze rozprawy, z których podawano sprawozdania przez radio:

od 9 do 17 lipca rb. w Warszawie 14 osób, w tym 4 kobiety, tzw. grupy Liceum, oskarżonych o udział w ruchu podziemnym i oczywiście o styczność z jen. Andersem a także z wywiadem obcym, skazanych na 3 do 10 lat więzienia;

23 lipca rb. w Łodzi 5 osób z zakazanego Stronnictwa Narodowego, z adw. Kotowskim na czele, skazanych na 3 do 10 lat więzienia;

od 25 do 31 lipca rb., w Warszawie, 7 osób, w tym 5 kobiet, z ruchu podziemnego Wolność i Niepodległość oraz Wolność - Równość - Niepodległość, skazanych na 5 do 10 lat więzienia;

od 4 do 6 sierpnia rb., w Warszawie, red. Zygmunt Augustyński, ks. Leon Pawlina i chorąży Zygmunt Maciejec za styczność z podziemiem skazani na 15 lat pierwszy, na 10 lat drugi, na śmierć trzeci;

w Poznaniu za przynależność do Młodzieży Wszechpolskiej, związanej ze Stronnictwem Narodowym, trzech skazanych na 3 do 8 lat więzienia;

w Warszawie 9-ciu uczniów gimnazjum im. Konopnickiej skazanych na 3 do 15 lat;

w Warszawie 6 oskarżonych o przynależność do Ruchu Oporu Armii Krajowej skazanych na więzienie lub śmierć;

sierpień - wrzesień sprawa Niepokólczycki - Mierzwa;

a już 13 września 1947 rozpoczęła się dalsza wielka sprawa 10-ciu członków Stronnictwa Narodowego, z wybitnymi osobistościami, b. posłem i konsulem jeneralnym Stanisławem Zielińskim i prof. Władysławem Tarnawskim na czele, oskarżonych jako Komitet Ziem Wschodnich o działalność przeciw zaborowi wschodniej połowy Rzplitej przez Rosję.

Przestępstwem czy zbrodnią jest zawsze wszelkie niezadowolenie z obecnych rządów w Polsce, opór przeciw nim i dążenie do zmian w duchu prawa przeciw narzuconemu bezprawiu. Zasada wolności przekonań, nie tylko zrozumiała sama przez się, ale przyrzeczona w Oświadczeniu o Wyzwolonej Europie, jako główna podstawa swobody w tych krajach, w ogóle nie istnieje. Ujawniasz lub kryjesz inne przekonania niż narzuconych rządów: kara śmierci lub więzienia. Państwa Zachodnie, które podpisały wraz z Rosją w r. 1945 to Oświadczenie o Wyzwolonej Europie, mają prawo czuwania nad jego dotrzymaniem i niejednokrotnie podnosiły głos. Jesteś jednak podejrzany o jakąkolwiek styczność z ambasadorami Wielkiej Brytanii lub Stanów Zjednoczonych Ameryki: kara śmierci lub lata więzienia. A o te stosunki z państwami obcymi, sojusznikami w czasie wojny, oskarżają i za nie mordują sądownie pachołkowie Rosji na każdym kroku i w każdym ruchu. Zionie to bezmiarem kłamstwa, fałszu, obłudy.

Wszystkie te rozprawy toczą się w trybie wyjątkowym przed tzw. sądami wojskowymi.

Przebieg ich jest zawsze ohydny. Na ławie oskarżonych zjawiają się ludzie znękani śledztwem w trybie NKWD i nieodrodnej córuchny Bezpieki. Przesłuchanie na rozprawie jest ujęte w ścisłe karby niedopuszczające niespodzianek. A jednak niesie ono w sobie jakby głuchy odgłos tygodni i miesięcy więzienia śledczego, w którym łamano ofiary.

Podstawowe prawo sądu właściwego czyli prawnie wskazanego nie istnieje. Sądy są właśnie wyjątkowe. Kukły na sznurkach czy postronkach rozkazów politycznych nie są sędziami lecz siepaczami.

Istotą zaś prawidłowego wymiaru sprawiedliwości i sądownictwa jest, że postępowanie sądowe jest prowadzone i wyroki są wydawane w imię prawa. A w Polsce dzisiaj nie ma prawa. Od samych podstaw, w całym ustroju władz państwa, jest bezprawie, tylko bezprawie, całkowite bezprawie. Gdyby wymiar sprawiedliwości oparty był na prawie, ławy oskarżonych w sądach zapełniłyby się przede wszystkim tzw. przedstawicielami władz z kierownikami sądownictwa i wieloma sędziami włącznie. Oni są wielkimi udziałowcami przedsiębiorstwa bezprawia oraz jego sprawcami, piastunami i użytkownikami. Lecz to oni właśnie tych, którzy walczą przeciw bezprawiu i o prawo, posyłają na ławy oskarżonych, do więzień, na stracenie. Dzisiaj w Polsce rozprawy sądowe są prowadzone i wyroki są wydawane nie w imię prawa lecz w imię bezprawia i powinny zaczynać się słowami:

— W imię bezprawia władającego dzisiaj w Polsce i według rozkazów wydawanych wszędzie i we wszystkim przez najeźdźcę wykonawcom jego woli . . .

Nigdy pełniejszej niż dzisiaj treści nie miały słowa Mickiewicza:

Wyzwanie przyśle mu szpieg nieznajomy
Walkę z nim stoczy sąd krzywoprzysiężny.

I naprawdę tych kilka niestety nieśmiertelnych u nas zwrotek wiersza „Do Matki Polki" daje najdokładniejszy, w głębi rzeczy, obraz tzw. sądownictwa w Polsce znowu w łapach Moskwy.

Te rozprawy sądowe nie są wcale zamkniętymi w sobie obrachunkami winy i kary w zwierciadle prawa i sprawiedliwości, lecz są umiejętnie i przewrotnie kleconymi widowiskami, z których rodzić się mają nowe oskarżenia i nowe rozprawy.

Nikt tam nie będzie osądzony, lecz los jego jest z góry przesądzony.

Dzisiaj w Polsce nie można mówić:

— Sprawa idzie pod sąd.

Dzisiaj w Polsce brzmi to:

— Idziem pod ściankę sądu.

STANISŁAW STROŃSKI

★ ★ ★

Nasz Odkupiciel, dzieckiem w Nazarecie,
Piastował krzyżyk, na którym świat zbawił:
O matko Polko! ja bym twoje dziecię
Przyszłymi jego zabawkami bawił.

Wcześnie mu ręce okręcaj łańcuchem,
Do taczkowego każ zaprzęgać woza,
By przed katowskim nie zbladnął obuchem,
Ani się spłonił na widok powroza . . .

Wyzwanie przyśle mu szpieg nieznajomy
Walkę z nim stoczy sąd krzywoprzysiężny,
A placem boju będzie dół kryjomy
A wyrok o nim wyda wróg potężny.

Zwyciężonemu za pomnik grobowy
Zostaną suche drewna szubienicy,
Za całą sławę krótki płacz kobiecy
I długie, nocne rodaków rozmowy.

ADAM MICKIEWICZ, 1830.

BEZPRZEDMIOTOWA REWIZJA

Artykuły dyskusyjne Witolda Almarskiego („Sytuacja i wnioski", „Polska Walcząca" nr. 35 i 36) wzbudziły znaczne zainteresowanie i sprzeczne echa. Zgodnie z zapowiedzią drukujemy pierwszy głos polemiczny. W następnych numerach ogłosimy dalsze.

Pierwsze wrażenia często bywają błędne. Moim pierwszym wrażeniem po przeczytaniu obu artykułów p. Witolda Almarskiego („Sytuacja i wnioski", „Polska Walcząca" nr. 35 i 36) było, że odpowiedzieć mu jest bardzo łatwo. Okazało się jednak, że przesiedziałem parę godzin nad czystą kartką papieru i nie mogłem wystartować. Ale to nie jest komplement dla p. Almarskiego. Wprost przeciwnie.

Łatwo jest zacząć dyskusję, gdy myśl główna artykułu jest wyraźnie określona, argumenty są przejrzyste i cel wyraźny. Cech tych w omawianych artykułach nie znalazłem. Nie mogę więc zwalczać głównej myśli — bo jej nie widać; nie mogę twierdzić, że cel jest błędny, bo żaden cel nie został określony. Pozostaje więc zajmować się po kolei każdym argumentem i każdym twierdzeniem, bez ich związku między sobą? Ale wtedy i moja odpowiedź też będzie pozbawiona koncepcji oraz głębszego celu, też będzie zlepkiem obserwacji, wrażeń, twierdzeń, wątpliwości, prawd, pół-prawd i przywidzeń.

Pisanie artykułu jest przecież twórczością. Zasady twórczości są jednakowe zarówno w dziedzinie twórczości duchowej, jak i materialnej. Zostały one sformułowane już w Biblii w opisie stworzenia świata. Powiedziane tam jest, że Bóg stworzył świat z chaosu; że oddzielił światłość od ciemności i światłość nazwał dniem, a ciemność nocą oraz że oddzielił ziemię od wody. Wynika z tego niezbicie, że twórczość polega na wprowadzaniu porządku do chaosu, na rozgraniczaniu pomieszanych ze sobą elementów i na nadawaniu im określonych nazw: to jest światło a to ciemność, to jest noc a to dzień. I nie ma wtedy żadnych nieporozumień.

Ponieważ Bóg stworzył człowieka na obraz i podobieństwo swoje, to i ludzka twórczość przebiega tymi drogami, co Boska. Gdy człowiekowi chodzi o to, żeby podkuć konia, to wydobywa z rudy żelazo (oddziela jeden materiał od drugiego), nadaje temu żelazu odpowiedni kształt (z chaosu robi porządek) i powiada: to jest podkowa — służy do podkucia konia.

P. Almarski nie poszedł po tej linii i dlatego po przeczytaniu jego artykułu poczułem się zanurzony w chaosie myślowym, z którego nie od razu potrafiłem wybrnąć. Wrażenie było, jak przewidywał autor, raczej przykre.

Powyższe wyznanie może posłużyć p. Almarskiemu za podstawę do włączenia mnie do liczby ludzi unikających „nieprzyjemnych prawd". Nawiasem mówiąc, określenie „nieprzyjemna prawda" tak się już utarło, iż można nabrać wrażenia, że „nieprzyjemność" jest nieodłączną cechą prawdy. Ciekawy jestem, czy p. Almarski gotów będzie uznać za prawdziwe wszystkie moje twierdzenia i argumenty jedynie na tej podstawie, że są one nieprzyjemne dla niego? A poczuwam się do obowiązku wypowiedzenia kilku takich twierdzeń!

Pierwszym z nich jest, że p. Almarski zajmuje postawę krytyka wytykającego innym ludziom błędne poglądy i fałszywe przewidywania. Pisze on:

„Nie należy wszystkiego zwalać na okoliczności. Społeczeństwo polskie poza Krajem zaufało swemu kierownictwu w różnych jego formach — i zawiodło się.. Polak, który spędził te dwa lata za granicą, może mieć słuszny żal do osób, którym zaufał".

Chodzi o to, że p. Almarski jest jedną z tych osób, którym taki Polak zaufał. P. Almarski był bowiem autorem broszury „Motywy decyzji", wydanej we wrześniu 1945 r., gdzie głosił różne „plany, hasła i slogany", które dzisiaj krytykuje. Ponadto p. Almarski przyjmował mniejszy lub większy udział w formułowaniu zbiorowych stanowisk niektórych grup emigracji. Słowem, należał on do tego „kierownictwa w różnych jego formach", na którym społeczeństwo polskie poza Krajem, według jego twierdzenia, zawiodło się.

Ludzkie sądy są omylne, bo człowiek nie jest istotą wszechrozumną. Człowiek, który skromnie przyznaje się do popełnionego błędu, daje dowód rozumu i moralnej odwagi. Jeśli równocześnie zbada on dokładnie, d l a c z e g o się omylił, to ułatwi sobie i innym unikanie na przyszłość podobnych błędów. Wywody więc p. Almarskiego miałyby znacznie większy ciężar gatunkowy, gdyby autor stwierdził swój współudział i swą współodpowiedzialność w tworzeniu i formułowaniu poglądów, które dziś poddaje krytyce i rewizji. Miałyby one wówczas prawdziwy charakter r e w i z j i p o g l ą d ó w, co jest zawsze pożądane i w każdym kulturalnym, demokratycznym środowisku musi być uszanowane.

Jakżeż ta rewizja poglądów wypadła? Czytajmy:

„Zwalczanie istniejącego stanu rzeczy (w Kraju) z bronią w ręku zostało od dawna potępione przez olbrzymią większość narodu, przez wszystkie rozsądne czynniki w Kraju i za granicą. Wniosek stąd jasny. Stabilizacja obecnego systemu w Polsce jest faktem dokonanym, nie ma szans na zmianę zasadniczą od wewnątrz".

Zbadajmy te kilka twierdzeń, jedno po drugim:

I. Emigracja właśnie uznała, że walka zbrojna w Kraju powinna być zaniechana, gdyż nie ma żadnych szans powodzenia, że Kraj ma tylko trwać, a walkę o wolność będzie prowadzić emigracja. W jaki sposób można z tego wyciągnąć wniosek o stabilizacji obecnego systemu w Polsce, jest rzeczą niezrozumiałą.

II. System ustalony w Polsce w 1945 roku na podstawie układów jałtańskich nie tylko nie został ustabilizowany, lecz jest krok po kroku likwidowany i władza powoli staje się monopolem komunistów.

III. Podstawowym założeniem emigracji było i jest, że wyzwolenie może przyjść tylko z zewnątrz, w tym miejscu p. Almarski nic nowego nie odkrył i nic nie zrewidował.

Rewizją emigracyjnych poglądów politycznych ma być jeszcze zdanie następujące:

„Życie polskie jest na wielu odcinkach prawdziwe, nie uległo zniekształceniu. Polacy w Kraju mają możność pożytecznie dla niego pracować".

Rewizją to może jest, ale czy jest to prawdziwe przedstawienie sytuacji? Przeprowadzono ostatnio w Kraju rozległe aresztowania niepodległościowych socjalistów z Pużakiem na czele, skazano za różne „przestępstwa" wielu przedstawicieli Stronnictwa Ludowego, rozpoczęły się aresztowania, a wytoczenia procesu samemu Mikołajczykowi można się spodziewać lada dzień. Słowem jest dużo nieprzyjemnych prawd o Kraju, prawd, które emigracja przewidziała, a których nie przewidział np. Mikołajczyk. Wydaje się, że autor jest już zanadto emigrantem, bo bardziej go bolą bolączki emigracyjne, niż krajowe. A sądzę, że powinniśmy stawiać sprawy krajowe na pierwszym miejscu.

Zrewidowawszy jakoby wszystkie hasła, skrytykowawszy wszystkie poglądy i całe kierownictwo polityczne emigracji (ze sobą włącznie), p. Almarski w drugim swym artykule zaczyna formułować wnioski. Wniosek nr. 1 otwiera takie śmiałe twierdzenie:

„Przewidywania z 1945 zarówno w odniesieniu do sytuacji międzynarodowej jak i krajowej były w zasadzie słuszne".

Więc o co w takim razie tyle hałasu, tyle potępień i tyle rewizji dotychczasowych poglądów! Jeżeli przewidywania i założenia kierownictwa politycznego emigracji były w zasadzie słuszne, a błędy dotyczą szczegółów, to nie istnieją żadne podstawy do zasadniczej krytyki i zasadniczej rewizji poglądów. A zatem oba artykuły p. Almarskiego nie mają zasadniczych podstaw. Podjęte przez niego pożyteczne zadanie zestawienia i porównania przewidywań i założeń z rzeczywistym rozwojem wydarzeń w ciągu ostatnich dwu lat nie zostało, w gruncie rzeczy, wykonane.

Postaramy się to zrobić.

STANISŁAW KLINGA

O J C Z Y Z N A

Idzie za nami przez morza i lądy —
Słyszym JĄ wszędzie, niby jęk cichutki,
ONA z kielicha nawet dna wygląda,
Ćmi każdą radość mgłą pajęczą smutku.

ONA kęs chleba piołunem zaprawia,
Smak pocałunkom łez nadaje słony.
A czasem tryśnie makiem w zżółkłej trawie,
Świątkowym licem bożka twarz przysłoni.

ONA w noc wschodnią żałobnym motylem
Spada na serce, z cyprysów szelestem,
To znów najdroższym cieniem się pochyla
I tułaczowi szepce łzawo: — Jestem...

Na polu walki, pól kłośnych muzyką
Gra żołnierzowi. Gdy go śmierć oniemi,
Oczy mu zgasłe łagodnie przymyka. —
ONA jest wszędzie — i nigdzie JEJ nie ma!....

JÓZEF RELIDZYŃSKI

© Musées de Grasse, Alpes-Maritimes

Przegląd tygodniowy

„Zimna wojna", veto i zboże

CZEGO ROSJANIE NIE PRZEWIDZIELI

Gdy przed dwu i pół laty uchwalano w San Francisco Kartę Narodów Zjednoczonych, jedna z najbardziej zaciętych walk toczyła się o uprawnienia Zgromadzenia Ogólnego, w którym zasiadają wszystkie państwa, należące do organizacji.

Rosjanie, którzy doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że na Zgromadzeniu Ameryka rozporządzać będzie dwudziestu głosami państw półkuli zachodniej i z łatwością zmobilizuje dwie trzecie głosów potrzebne dla podjęcia uchwał, starali się jak najbardziej prawa te ograniczyć. Chcieli, by wszystko zastrzeżone było dla Rady Bezpieczeństwa, w której posiadają veto. Gdyby to od nich zależało, nie pozwoliliby Zgromadzeniu nawet na dyskutowanie różnych zagadnień, nie mówiąc już o podejmowaniu jakiejś akcji. W końcu zgodzili się na to, by Zgromadzenie miało prawo do dyskutowania wszelkich spraw i wydawania zaleceń; sądzili jednak, że w pełni zabezpieczyli się przed jakimikolwiek niespodziankami, zastrzegając, że działać może tylko Rada.

Tymczasem obecnie okazuje się, że nie przewidzieli użytku, jaki z Karty i ze Zgromadzenia zrobi Ameryka. Myśleli, że veto będzie ich zawsze chronić przed przegłosowaniem i że skoro Karta nie może być zmieniona, veto będzie działało tak długo, dopóki istnieć będzie organizacja. A jednak Amerykanie odkryli drogę, by obejść veto, nie zmieniając formalnie Karty (aczkolwiek niewątpliwie postępując wbrew jej duchowi, a nawet literze). Oto skoro Zgromadzenie ma prawo wydawać zalecenia choćby Rosja się nie zgadzała, to wystarczy zapewnić, by działało w permanencji (bez przerwy) a nie — jak dotąd — raz na rok, by przynajmniej te skromne możliwości wykorzystać. Stąd amerykański projekt powołania stałego komitetu, złożonego ze wszystkich 55 państw, byłby on po prostu permanentnym Zgromadzeniem. Z planem takiego komitetu wystąpił na Zgromadzeniu Marshall.

Veto w Radzie byłoby utrzymane. Ale nie mogłoby już zapobiec np. wysłaniu komisji na Bałkany dla zbadania napastniczej akcji sowieckich satelitów, takich jak Albania, Jugosławia czy Bułgaria. Mogłoby natomiast nadal zapobiec uchwaleniu akcji zbrojnej przeciw tym napastnikom.

NIE JEST ŁATWO WYPCHNĄĆ ROSJĘ Z ONZ

Można by powiedzieć, że skoro veto nadal chroni napastników komunistycznych przed karą, to nowy plan jest niedostateczny. Ale nie bez powodu Moskwa wpadła w furię, a Wyszyński perorował na Zgromadzeniu, że „St. Zjednoczone przygotowują nową wojnę". Na Kremlu doskonale zrozumiano, co się kryje za projektem Marshalla.

Istotnie, jeśliby taki komitet powstał, to mógłby on większością dwu trzecich zalecić np. wysłanie do Grecji wojsk dostarczonych przez szereg państw, ze St. Zjednoczonymi na czele, dla utrzymania tam porządku. Wprawdzie nie miałoby to siły obowiązującej, ale niemniej stanowiłoby dla Ameryki moralny mandat dla działania na Bałkanach. St. Zjednoczone nie występowałyby tam jako pojedyńcze mocarstwo walczące z Sowietami, lecz jako pełnomocnik ONZ.

Temu Sowiety nie są w stanie zapobiec. Jeśli uznają, że Karta została pogwałcona i wystąpią z ONZ, to wyrządzą tylko usługę St. Zjednoczonym, które obecnie zrozumiały — niestety po niewczasie — że cena zapłacona za udział Sowietów w organizacji międzynarodowej w postaci prawa veta, a więc prawa dyktowania innym woli Rosji, była za wysoka i że tylko organizacja bez Rosji może odegrać jakąś rolę, jako czynnik organizujący akcję zbiorową przeciw napastnikowi. Cóż bowiem za pożytek może być z organizacji mającej stać na straży pokoju i bezpieczeństwa, jeżeli jest z góry pozbawiona możności działania?

Dziś St. Zjednoczone prawdopodobnie chętnie widziałyby wyjście Rosji z ONZ, gdyż w ten sposób automatycznie przekształciłaby się ona w blok antysowiecki. Póki Rosja należy do ONZ, St. Zjednoczone mogą osiągnąć swój cel, jakim jest zmontowanie potężnej koalicji mogącej trzymać Rosję w szachu, tylko przez stworzenie nowej organizacji, względnie zawarcie z szeregiem państw traktatu sojuszniczego na wzór traktatu, który już je łączy z ogółem republik Półkuli Zachodniej. Ale oczywiście jest znacznie łatwiej posługiwać się organizacją istniejącą, niż tworzyć coś nowego.

KOMUNISTYCZNA OFENSYWA WE WŁOSZECH

Gdyby Rosja wystąpiła z ONZ, to pociągnęłaby za sobą tylko państwa swojej strefy. Natomiast takie państwa, które jak Szwecja, Norwegia, a nawet Francja, pragnęłyby uniknąć jednostronnego wiązania się z jednym z dwu bloków, nie zdobyłyby się na pójście za jej przykładem. Natomiast łatwo różne takie państwa mogłyby odmówić przystąpienia do nowej organizacji, czy traktatu sojuszu. Dlatego można być pewnym, że dopóki tylko to będzie możliwe, Rosja w ONZ pozostanie. Nie zmieni to faktu, że organizacja będzie się stawała coraz bardziej cieniem oraz fasadą dla akcji tylko formalnie zgodnej z Kartą.

Na terenie ONZ Rosja skazana jest w ten sposób na postawę obronną. Ale nie znaczy to, by również na frontach europejskich musiała przejść do defensywy. Przeciwnie, jesteśmy obecnie świadkami nowej ofensywy sowieckiej, obliczonej na pokrzyżowanie planów amerykańskich.

Terenem tej ofensywy jest Europa zachodnia, a w szczególności Włochy. Celem jej jest zaś pozbawienie St. Zjednoczonych sojuszników w Europie zachodniej.

ATUT CHOWANY NA CZARNĄ GODZINĘ

Od dawna było rzeczą jasną, że sowiecką odpowiedzią na bombę atomową jest wpływ Moskwy na związki zawodowe w krajach Europy zachodniej, m.in., we Francji i we Włoszech. Ten atut był chowany „na czarną godzinę", przy czym wydawało się że będzie użyty dopiero w momencie decydującym, tj. po wybuchu wojny, prawdziwej (w odróżnieniu od obecnej wojny politycznej, którą publicystyka Zachodu zaczyna nazywać „wojną zimną"). Teraz jednak wygląda na to, że Sowiety nie wytrzymują nerwowo i zgrywają tę kartę przedwcześnie.

We Francji jeszcze to nie nastąpiło, ale we Włoszech wyraźnie komuniści za pomocą akcji strajkowej usiłują obalić antykomunistyczny, proamerykański rząd premiera de Gasperi. Nie ulega wątpliwości, że Moskwa nakazała im wszelkimi sposobami wrócić do rządu, tak by móc sabotować jeszcze skuteczniej odbudowę gospodarczą i politykę współdziałania ze St. Zjednoczonymi.

Jest rzeczą godną uwagi, jak szybko komuniści włoscy zrzucili maskę, którą przez długi czas nosili. Jeszcze niedawno unikali ataków na St. Zjednoczone; teraz tłumy na wiecach komunistycznych wyją: „Truman na szubienicę". Jeszcze niedawno komuniści umizgali się do Kościoła; teraz, gdy Papież publicznie zapowiedział współdziałanie ze St. Zjednoczonymi, akcja przeciw Kościołowi staje się coraz bardziej gwałtowna.

Z kampanią przeciw Waszyngtonowi we Włoszech łączy się wojna nerwów, prowadzona w Trieście przez Jugosłowian przeciw Amerykanom. Oddziały jugosłowiańskie usiłowały — zresztą bezskutecznie — zmusić Amerykanów do cofnięcia się choćby o paręset metrów, aby otrąbić wielkie zwycięstwo nad „imperialistami" amerykańskimi.

W Trieście, jak wszędzie indziej, komuniści liczą na chaos i dezorganizację, jako na swego głównego sojusznika. Absurdalny pomysł wolnego terytorium Triestu jako obszaru umiędzynarodowionego na pograniczu dwu światów, oczywiście sprzyja planom komunistycznym.

SUSZA ZATRZYMAŁA SIĘ U GRANIC ZSRR

Zupełnie nieoczekiwanie Rosja uzyskała obecnie jeszcze jeden potężny atut. Oto na podstawie bezstronnych i wiarygodnych doniesień można stwierdzić, że podczas gdy w całej Europie susza spowodowała katastrofalnie złe zbiory, w Rosji zbiory są rekordowe. Klęska posuchy, która tak się dała we znaki Niemcom, Polsce i Czechosłowacji (nie mówiąc o Europie zachodniej) jakimś dziwnym zrządzeniem losu zatrzymała się na granicy ZSRR ...

W rezultacie Rosja ma jakoby poważną nadwyżkę zboża i nie tylko może planować zniesienie racjonowania chleba, ale jeszcze pozostanie jej rzekomo nadwyżka eksportowa, którą niektórzy obliczają na 4 miliony ton. W tym wypadku Rosja mogłaby nie tylko dopomóc Czechosłowacji i Polsce, którym już obiecała łącznie pół miliona ton, ale mogłaby zaofiarować zboże również Francji, Włochom i W. Brytanii oraz innym państwom Europy zachodniej, oczywiście stawiając warunki polityczne. Nie trudno sobie wyobrazić, jakie będą te warunki.

Francja już zabiega o zboże sowieckie i chciałaby ponoć półtora miliona. Ale, jak sądzą niektórzy obserwatorzy, Moskwa zaofiaruje Francji zboże dopiero w październiku, w przededniu wyborów municypalnych, aby wzmocnić szanse komunistów francuskich.

Jak wiadomo, sytuacja we Francji jest szczególnie ciężka, gdyż urodzaj tegoroczny wyniesie mniej, niż połowę przedwojennego i niewiele ponad połowę zeszłorocznego (3,6 miliona ton w porównaniu z 6,5 milionami w 1946).

POMOC AMERYKAŃSKA MUSI BYĆ PRZYŚPIESZONA

W tych warunkach Rosja ma potężną broń przeciw Ameryce, zabiegającej o sojuszników w Europie Zachodniej. Ale wydaje się, że sternicy polityki amerykańskiej doskonale to rozumieją. Dlatego też Marshall i jego współpracownicy usiłują doprowadzić do zwołania Kongresu na sesję nadzwyczajną i do uchwalenia kredytów na szybką pomoc dla Europy zachodniej nie czekając na wprowadzenie w życie właściwego „planu Marshalla".

Jest rzeczą oczywistą, że realizacja amerykańskich planów politycznych łączy się ściśle z realizacją planu gospodarczego, który na żądanie Marshalla i uwzględniając zastrzeżenia amerykańskie opracowała właśnie konferencja paryska 16 wolnych narodów europejskich. Jeśli Ameryka chce te narody, a zwłaszcza W. Brytanię, Francję i Włochy, mieć wśród swych sojuszników, to musi im pomóc w ich obecnej trudnej sytuacji. Rzecz jasna, ma ze swej strony prawo oczekiwać, że w zamian za tę pomoc same przyjdą jej z pomocą w dziedzinie politycznej i nie będą próbowały prowadzenia polityki „neutralnej".

Dla narodów Europy zachodniej zbliża się wyraźnie chwila ostatecznego wyboru. Jeżeliby Ameryka nie potrafiła im dopomóc, to musiałyby chcąc, nie chcąc, wybrać Rosję. Ale jeżeli zarówno St. Zjednoczone, jak i Sowiety zaofiarują zboże, to wybór nie może ulegać wątpliwości. Albowiem St. Zjednoczone obok zboża mają jeszcze do zaofiarowania wolność, a także to wszystko, co tylko one mogą dostarczyć. Rosja zaś nie ma do zaofiarowania niczego poza kajdanami.

Londyn, 20 września 1947

ALEKSANDER BORAY

DO PT. PRENUMERATORÓW

Administracja „Polski Walczącej" prosi uprzejmie, aby:

1) przy wszelkiej korespondencji, szczególnie przy przekazywaniu należności i zmianach ilości prenumerowanych egzemplarzy podawać dokładny adres, ten sam, na który wysyłany jest tygodnik;

2) abonenci - hurtownicy podawali ponadto swój numer konta;

3) przy zmianie adresu podawać stary adres wraz z nowym.

Ścisłe przestrzeganie powyższych wskazówek jest konieczne, ponieważ niedokładności w adresach utrudniają i hamują pracę, a często zmuszają do zbytecznej korespondencji dla uzyskania wyżej omówionych szczegółów.

Polska pod okupacją

Dzieci polskie na Krymie

Prasa komunistyczna z „Głosem Ludu" na czele doniosła z wielkim rozgłosem o wyjeździe trzydziestu dzieci polskich na wakacje na Krym, dokąd zaproszone zostały przez władze sowieckie. Dzieci te wyleciały z Warszawy samolotem żegnane przez elitę reżimową wraz z ambasadorem ZSRR Lebiediewem. Z tego wydarzenia propaganda komunistyczna starała się ubić kapitał „przyjaźni" polsko-sowieckiej:

„Dzieci te jadą — pisał „Głos Ludu" — do jednego z najpiękniejszych obozów letnich, słynnego „Arteku" na Krymie. Dla młodzieży radzieckiej pobyt w „Arteku" równoznaczny jest z wysoką nagrodą za pilność. Tu dostać się mogą tylko uczniowie celujący, tylko ci, którzy na taką przyjemność zasłużyli całoroczną pracą. Toteż „Artek" jest skrytym marzeniem każdego radzieckiego ucznia. „Artek" śni się po nocach, a ci którzy już w nim byli wspominają to później przez długie — „szkolne" miesiące. Młodzież radziecka ofiarowała naszym dzieciom to co sama najbardziej umiłowała. Trzydzieścioro dzieci radzieckich będzie musiało pewnie wyjechać na inne kolonie, zrezygnować z całorocznego marzenia, żeby trzydzieścioro dzieci polskich mogło spędzić lato na Krymie, nabrać tam sił, zdrowia i radości życia".

Nie jednym w Kraju musiało zatrząść, czytając te „czułości". Prasa reżimowa rozpisuje się o szczęściu trzydziestu dzieci, podczas gdy ponure milczenie okrywa los setek tysięcy Polaków wywiezionych z Polski do Rosji Sowieckiej.

W lipcu br. przedstawiciel PSL interpelował „premiera" Cyrankiewicza w sfałszowanym sejmie:

„Pan premier Cyrankiewicz — głosi interpelacja — w swoim exposé wspomniał o repatriacji Polaków z Jugosławii, z Francji i Norwegii. Natomiast nie poruszył on sprawy powrotu Polaków ze Związku Sowieckiego, chociaż na terytorium tego Związku przebywa wciąż powyżej pół miliona obywateli polskich. Wiem, że porozumienia zawarte we wrześniu 1944 roku z przedstawicielami poszczególnych Republik Związku, nie przewidywały żadnych ograniczeń w repatriacji. Czy rząd nie wie o faktach, że wiele rodzin jest wciąż rozdzielonych? Mówię to o rodzinach żołnierzy polskich, którzy wraz z armią polską, utworzoną w Rosji, powrócili do kraju w roku 1944, gdy tymczasem ich rodziny nadal pozostały na wschodzie. Czy ten stan rzeczy ma nadal trwać?"

Interpelacja ta pozostała bez odpowiedzi. „Suwerenny" rząd Cyrankiewicza nie mógł zająć stanowiska w tej delikatnej sprawie bez narażenia się „opiekunom" w Moskwie. Ale za to dzieci pojechały na wakacje . . .

EMIGRACJA „DYPLOMATYCZNA"

Charakterystyczny dla atmosfery panującej w Kraju pod reżimem Gomułki, Osóbki itp. jest fakt, że kto może, woli w Kraju nie siedzieć i wieje na Zachód, tak znienawidzony i oczerniany w prasie komunistycznej. Ta masowa „emigracja" gniewa reżim jako dowód braku zaufania. „Robotnik" warszawski (nr. 1019) gromi:

„Jak nazwać masowy, wręcz epidemiczny exodus naszych pisarzy i publicystów — ów ciąg „ludzi pióra" w dyplomatycznych frakach na Zachód?

„Aby nie być gołosłownym: po Miłoszu, świetnym poecie (obecnie w Ameryce), po dwóch braciach Pruszyńskich (jeden w Rzymie, drugi w Waszyngtonie), po Wionczku, po Putramencie, rasowym szermierzu słowa (obecnie w Paryżu), po satyryku Lecu (obecnie w Wiedniu), oraz paru innych jeszcze — przyszła kolej nawet na hermetycznego poetę Przybosia, który doprawdy już raczej nadaje się — mimo głosów przeciwników — do tworzenia wierszy, niż do dyplomacji. Teraz zaś idą słuchy, że pewien znany satyryk i poeta krakowski wybiera się aż do ... Egiptu — oczywiście na „placówkę".

„Coś tutaj jest nie w porządku. Stanowczo zbyt wielu literatów poczuło w sobie nagle pociąg i talent do służby na placówkach zagranicznych, czego dawniej nigdy nie było. Czy naprawdę właśnie literaci i poeci są ludźmi, nadającymi się najbardziej do wszechstronnego zastępowania interesów Polski za granicą? Wątpię, i ze mną wątpi wielu".

Jakoś „ludowa", „demokratyczna" Polska nie służy ludziom pióra!

„ELITA" UŻYWA I NADUŻYWA

Według wiadomości z Kraju, prawdziwa demokratyzacja kulturalna i obyczajowa poczyniła w społeczeństwie polskim duże postępy, głównie dzięki działalności Armii Krajowej, która łączyła w sobie wszystkie warstwy. Odrębności klasowe zrównane zostały prawie zupełnie. Występują one jedynie wśród górnej grupy reżimowej, która lubi „reprezentację" i korzysta z różnych przywilei. Jednym z takich przywilei jest posiadanie samochodów państwowych — nadużywanych dla celów osobistych. Skarży się na to prasa krajowa, pisząc:

„Nieobliczalne wprost marnotrawstwo przejawia się zarówno w eksploatacji samochodów osobowych i ciężarowych, jak i kontroli tras wozów.

„Znane są fakty wyjazdów do odległych miast prowincjonalnych połączonych ze Stolicą dogodnymi i daleko tańszymi liniami kolejowymi i lotniczymi, posługiwanie się samochodem do przejazdów z jednej ulicy na drugą sąsiednią, świątecznych wycieczek spacerowych w okolice podwarszawskie, korzystanie z wozu osobowego przez okres urlopowy użytkownika itd. itd.

„Całe kolumny samochodów ciężarowych krążą po naszych szosach i miastach puste lub załadowane małowartościowym towarem. Zdarza się nawet, że służą one do przewozu jednej lub kilku osób w miejsce samochodu osobowego".

Reżimowcy dobrawszy się do władzy pragną na tym zrobić jak największy interes.

SPRAWNOŚĆ KOMUNIKACJI LOTNICZEJ

Przed wojną Polskie Linie Lotnicze „Lot" znane były ze swej sprawności i wysokiego poziomu bezpieczeństwa. Te zalety obecnie znamionują znów komunikację lotniczą w Polsce, w dużej mierze dzięki wysiłkom dawnych pracowników. Dzisiaj cały Kraj przeciętny jest liniami komunikacji powietrznej i w niedługim czasie każde miasto wojewódzkie ma mieć połączenie z Warszawą, a tym samym z całą Polską. Wszczęto też pertraktacje o rozbudowę polskich linii lotniczych na Bałkanach, gdzie „Lot" przed wojną cieszył się wielką popularnością.

„Osiągnięcia polskich linii komunikacyjnych — pisze „Gazeta Ludowa" (nr. 190) — ilustrują najlepiej następujące cyfry: w roku 1938 przewieziono 35.400 pasażerów, w roku 1945 — 27.000, w roku 1946 — 58.000, a do końca maja bieżącego roku 20.760. W kilometrażu cyfry są następujące: 2.465 km, 399.400 km, 1.304.400 i 600.600 km. W czerwcu br. odbyto 480 lotów, przewieziono 5.000 pasażerów, 20.000 kg bagażu, 10.000 kg towarów i 7.000 kg poczty tylko na trasach zagranicznych.

„Jedną z cech najbardziej charakterystycznych i wyróżniających linie lotnicze w Polsce jest rzadko spotykana w innych państwach idealna regularność lotów, która wyraża się u nas wskaźnikiem 98, podczas, gdy za granicą nie przekracza 85. Pod względem punktualności lotnictwo polskie stoi na pierwszym miejscu w świecie".

Miło nam stwierdzić, że — podobnie jak i na kolejach — dawne dobre tradycje komunikacji lotniczej nie zostały zaprzepaszczone.

TADEUSZ NALER

Poświęcenie Domu Kombatanta

Dn. 21 września br. odbyło się oficjalne otwarcie i poświęcenie Domu Kombatanta — własnej siedziby władz głównych Stowarzyszenia Polskich Kombatantów.

Ze względu na trudności gospodarcze W. Brytanii i warunki życia emigracyjnego uroczystość miała charakter skromny, co zresztą stworzyło swojską i miłą atmosferę, jaka powinna panować w ogniskach życia polskiego na obczyźnie.

Zaproszone osoby reprezentowały szeroki wachlarz różnych organizacji, jak: Zjednoczenie Polskie, Światpol, Komitet Koord. Stow. Charyt.-Społ., Samopomoce Lotnictwa i Marynarki Wojennej, jak i szereg innych stowarzyszeń, ośrodków i kół polskich.

Poświęcenia dokonał ks. dziekan J. Joniec — członek Rady Głównej SPK, który wyraził wiarę, że ten dom, łącząc rodaków, przyczyni się do utrzymania nadziei w zwycięstwo dobra i sprawiedliwości.

W imieniu SPK przemówił prezes Zarządu Głównego, zapewniając, że ta siedziba będzie wyrazem polskiego obyczaju, który nas wiąże z naszą wiarą i naszym Krajem.

Uroczystość zbiegła się ze zjazdem Rady SPK w Londynie, co pozwoliło jej członkom wziąć gremialny udział.

Lampka wina przy miłej pogawędce oraz zwiedzanie domu zakończyły to krótkie i braterskie spotkanie.

* * *

Przy okazji informujemy, że Dom Kombatanta, 18—20, Queens Gate Terrace London S.W.7 — obok biur centrali SPK mieści szereg innych pożytecznych instytucji, a mianowicie: hotel, restaurację, kawiarnię, świetlicę z czytelnią, fryzjernię. Popularne Biuro Informacji i Porad SPK również mieści się w tym domu.

© Musées de Grasse, Alpes-Maritimes

B.D.I.C

NASZ SPK ZNAK
STOWARZYSZENIE POLSKICH KOMBATANTÓW
ROK I 27 WRZEŚNIA 1947 Nr. 24

SPK w obronie żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych, t. zw. „opornych"

Kiedy po przybyciu II. Korpusu do W. Brytanii rozpoczęły się zapisy do PKPR społeczeństwo polskie na emigracji stanęło w obliczu zjawiska, które zostało nazwane problemem „opornych". Oto kilkanaście tysięcy żołnierzy zaczęło odwlekać chwilę powzięcia decyzji wstąpienia do PKPR lub wręcz odmówiło podpisania odpowiedniej deklaracji.

Powody były różne: od ideowych po jak najbardziej utylitarne. W wielu wypadkach zaważyły również momenty psychiczne, wyrastające z beznadziejnego poczucia klęski. Zjawisko było trudne i nadzwyczaj skomplikowane. Nie można było uogólniać, należało przeprowadzić staranne i drobiazgowe badania, podejść indywidualnie do każdego z „opornych" żołnierzy, podzielić na odpowiednie grupy i wtenczas pokusić się o wydanie osądu, a przede wszystkim starać się pomóc. Żołnierz ten czuł się zgubiony, a w wielu wypadkach oszukany. Niejeden zwątpił we wszystko i chciał iść dalej własną drogą. Może to był tylko wpływ chwili, może konsekwencje własnych doświadczeń, przemyśleń i poglądów.

Z punktu widzenia moralnego i narodowego nie można było tej odmowie przypisywać z góry jakichś niskich pobudek. Przecież ten żołnierz odmawiał jedynie podpisania deklaracji, że opuszcza Wojsko Polskie i przechodzi na przeciąg dwu lat w służbę Armii Brytyjskiej. Kierownicze czynniki polskie i większość żołnierzy polskich uważały to za możliwe do przyjęcia, lecz on miał inne przekonanie — przy czym całą swoją służbą udowodnił, że jest prawym żołnierzem i gorącym patriotą.

Do tego żołnierza trzeba było wbrew różnicy przekonań podejść z największą życzliwością i zrozumieniem. Trzeba było z nim sprawę po bratersku omówić, serdecznie roztrząsnąć, postarać się rozumieć, a obcym wytłumaczyć powody jego postępowania. Przecież PKPR dla Brytyjczyków jest jedynie organizacją regulującą przejście cudzoziemców z wojska do pracy cywilnej na terenie W. Brytanii, a dla tego żołnierza jest rozwiązaniem Polskich Sił Zbrojnych, do których wyrywało się jego serce w męczeńskich łagiernych snach, z którymi przeszedł pół świata w znoju, krwi i chwale wiekopomnych zwycięstw, z którymi miał wrócić do Ojczyzny i przynieść jej wolność i radość. Czy Brytyjczyk był w stanie rozumieć, co i jak poszczególny żołnierz polski przeżywał, kiedy zaproponowano mu, aby jednym własnym podpisem przekreślił wszystkie sny, wszystkie trudy i rany i całą nadzieję?

Niestety, zamiast z życzliwą troską, żołnierz ten spotkał się z obojętnością, niechęcią a nieraz ze stanowiskiem niemal wrogim, tak jakby PKPR nie był tylko lepszym lub gorszym rozwiązaniem praktycznym, ale czymś w rodzaju wyznania wiary. „Kto nie z nami ten przeciw nam" — stało się niewypowiedzianym hasłem skierowanym przeciw temu żołnierzowi.

Najpierw więc zareagowano milczeniem — opinia polska nie dostrzegała sprawy. Potem, kiedy trudno było zachowywać milczenie, wyszukiwano różne karkołomne pozycje byle tylko znaleźć taki punkt widzenia, z którego patrząc widziałoby się zjawisko od jak najdziwaczniejszej i najbardziej odpychającej strony. Zapominając, że chodzi tu o aż kilkanaście tysięcy ludzi starano się wyrobić opinię, że są to wszystko osobnicy o przestępczych instynktach lub wręcz zamaskowani wrogowie, SS-mani, którzy przemycili się do Wojska Polskiego. Owszem w obozach „opornych" znaleźli się i jedni i drudzy, ale po pierwsze w niewielkich ilościach, a po drugie nie z winy żołnierza, o którym mowa.

Potem nastąpiły fakty wstrząsające — deportacja żołnierzy polskich do Niemiec! Zdawało się, zareagują, zaczną przeciwdziałać, zechcą naprawić zaniedbanie. Tu już przecież nie chodziło o dobrych czy złych żołnierzy, ale o samą podstawową zasadę uszanowania prawa azylu i solidarności kombatanckiej. Bezczynność w tym okresie jest momentem może najsmutniejszym w całej sprawie. Starano się zatuszować wrażenie nowym fałszem, że „oporni" są nie do strawienia przez społeczeństwo brytyjskie, ponieważ nie chcą pracować a tylko żyć za pieniądze podatnika brytyjskiego. Opinia ta zagnieździła się na samych szczytach — w parlamencie brytyjskim. Prasa brytyjska rozpowszechniła ją po całym kraju, prasa polska milczała.

Wstyd powiedzieć, ale pierwszy głos protestu był brytyjski, ukazał się bowiem na łamach „*Manchester Guardian*". Potem dołączyły się do tej opinii „*Whitehall News*" i „*Time and Tide*". Z polskiej prasy pierwszeństwo należy się „Dziennikowi Żołnierza 1. Dyw. Panc.", który wychodził w Niemczech.

Powoli sprawa zaczynała nabierać smutnego rozgłosu. Wreszcie oficer zagrożony deportacją wystosował stanowczy sprzeciw i rozpoczął głodówkę. W końcu deportacje zostały wstrzymane, ale 105 żołnierzy polskich oddano na łaskę i niełaskę administracji niemieckiej!

Zdawało by się, że po tym krótkim spięciu zasad moralnych z powojennym cynizmem obudzi się chęć poszukania jakichś godniejszych sposobów rozwiązania tej sprawy. Niestety — sprawa nie ruszyła z miejsca. Wprawdzie ilość „opornych" topniała, jedni zdecydowali się na powrót do Kraju, drudzy zaniechali „oporu", inni opuścili W. Brytanię — pozostało około 4000, ale liczbę tę osiągnięto nie przez życzliwą perswazję, nie przychodząc z radą i pomocą, ale dzięki zastosowaniu całego systemu szykan i nacisków.

Obozy „opornych" były odizolowane od całości życia polskiego, odcięte od informacji, instytucji polskich, życia kulturalnego, otoczone niechęcią, oplątane fałszywymi opiniami. Gruboskórne postępowanie, kompletny brak zrozumienia, nielogiczne, drażniące zarządzenia, odpędzanie od pracy, pomawianie o chęć próżnowania, obcięcie biletów kolejowych, obniżenie żołdu, niedopuszczenie do emigracji — jakiś dziwny tragiczny splot nonsensów omotał tych opuszczonych ludzi, którzy są — jednymi z ostatnich w służbie żołnierzami Polskich Sił Zbrojnych na obczyźnie.

Stowarzyszenie Polskich Kombatantów — organizacja powołana do życia przede wszystkim w celu niesienia pomocy wszystkim żołnierzom polskim na obczyźnie było od początku żywo zainteresowane losem t. zw. „opornych". Problem był zbyt trudny i zaciemniony, by można było z miejsca obrać właściwą płaszczyznę działania. Specjalna Komisja SPK do spraw PKPR zbierała materiały do tej sprawy, prasa SPK, t.zn. „Komunikat Informacyjny" i „Polska Walcząca" na łamach „Naszego Znaku" omawiała często i wszechstronnie to zagadnienie broniąc krzywdzonych kolegów i drukując ich wypowiedzi.

Z inicjatywy Komitetu Wykonawczego SPK odbyły się w tej sprawie konferencje z przedstawicielami Zjednoczenia Polskiego w W. Brytanii i Rady dla Spraw Osiedleńczych, na których ustalono metody i drogi interwencyj.

II. Walny Zjazd Delegatów SPK stanowczo wystąpił przeciw dotychczasowemu traktowaniu „opornych" i specjalną uchwałą zobowiązał Zarząd Główny do „dalszej zdecydowanej obrony t.zw. „opornych" przed naruszeniem ich praw kombatanta i człowieka".

Zarząd Główny SPK nie ustał w swoich staraniach i zwrócił się do brytyjskich władz wojskowych z inicjatywą zwołania przedstawicieli wybranych przez „opornych" na wspólną konferencję. Należy z wdzięcznością podkreślić, że brytyjskie władze wojskowe dały wyraz swemu zrozumieniu intencyj SPK i przyczyniły się do zrealizowania jego inicjatywy.

Konferencja odbyła się 10 września br. w Domu Kombatanta w Londynie. Obok 15-stu delegatów wybranych przez 8 obozów oraz 4 delegatów z ramienia władz 3 obozów, wzięli w niej udział przedstawiciele brytyjskich władz wojskowych z p. mjr. Hupertem na czele oraz przedstawiciele Stowarzyszenia Polskich Kombatantów. W charakterze gości — obserwatorów przybyli Mr. H. Foster Anderson, Sekr. Hon. Rady Tow. Polsko-Ang., oraz p. S. Lewicki z Rady dla Spraw Osiedleńczych.

W wyniku konferencji, na której delegaci z obozów przedstawili stan faktyczny, powody odmówienia wstąpienia do PKPR, stosunki w obozach itp. uchwalono rezolucję, która zostanie przekazana władzom brytyjskim do rozpatrzenia. Tekst rezolucji podajemy na innym miejscu.

Konferencja ta pozwoliła obejrzeć w świetle dobrej woli i chęci znalezienia słusznego rozwiązania całokształt sprawy. Pozwoliła po raz pierwszy spojrzeć z bliska na uczciwe i zatroskane twarze żołnierzy i marynarzy — wybranych przez obozy delegatów, którzy wszyscy bez wyjątku wzbudzali swoim stosunkiem do sprawy jak największe zaufanie i przyjazne uczucia.

Miejmy nadzieję, że wyniki tej konferencji przyczynią się do powszechnej rewizji stosunku do sprawy „opornych", a przede wszystkim do pomyślnego jej rozwiązania i zlikwidowania.

EUGENIUSZ ROMISZEWSKI

REZOLUCJA

uchwalona na konferencji w sprawie żołnierzy t. zw. „opornych" w dniu 10. IX. 1947 r. w Londynie

Zebrani w dniu 10 września 1947 r. na konferencji w Londynie delegaci żołnierzy P.S.Z. na terenie Anglii, t.zw. „opornych", reprezentując opinię i wolę żołnierzy P.S.Z. z obozów: High Ash, Felton Park, Plasterdown, Burrow Head, Greystoke, H. M. S. „Purbeck", Dale, Whity Bush — stwierdzają:

1. Żołnierze P.S.Z., tzw. „oporni" chcieli i chcą nadal w każdej chwili podjąć pracę na terenie Anglii.

Nieprawdą jest jakoby chcieli obciążyć wydatkami za swe utrzymanie podatnika brytyjskiego. Odczuwają oni głęboko krzywdę, jaka ich spotkała przez to nieuzasadnione oskarżenie, które obciąża nie tylko grupę żołnierzy P.S.Z., ale całe społeczeństwo polskie, przyczyniając się do siania wrogich nastrojów w społeczeństwie brytyjskim w stosunku do Polaków w ogóle.

2. Nie mogą ponosić żadnej winy za to, że w szeregi ich wtłoczono volksdeutchów jak i elementy aspołeczne, gdyż nigdy nie mieli wpływu na przyjmowanie tych ludzi do Wojska Polskiego.

3. Oświadczają, że w stosunku do żołnierzy P.S.Z., którzy nie chcą zapisać się do PKPR, zastosowano środki represji w formie:

a) deportacji do Niemiec, co miało miejsce do miesiąca maja 1947,
b) wstrzymywanie urlopów,
c) odebranie części żołnierzy P.S.Z. prawa do emigracji przez zakaz wydawania paszportów zastępczych tym żołnierzom, którzy zgłosili się w konsulatach innych państw po 10 lipca 1947 r.;
d) zmniejszenie uposażenia i żołdu wówczas, gdy większość żołnierzy P.S.Z. znajduje się na pracy w obozach (oficerom od 1 czerwca 1947 r., a szeregowym od 1 września 1947 r.), przy czym najdotkliwiej ukarano żołnierzy, którzy najdłużej służyli pod dowództwem brytyjskim (przez odebranie dodatku za wysługę lat, automatyczne zmniejszenie im odprawy demob. itp.).

4. Wśród względów natury indywidualnej niezapisania się do PKPR — są trzy zasadnicze przyczyny, a to:

a) żołnierze P.S.Z. wychodzą z założenia, że żołnierz polski walczył o Niepodległe Państwo Polskie. Przyjęcie rozwiązania w formie PKPR, zresztą tylko dla części P.S.Z. znajdujących się poza Krajem, w dużej mierze obniża wartość moralną wysiłku i celu walki żołnierza P.S.Z.;
b) wojskowy charakter PKPR i nieunikniona konieczność podpisania deklaracji o dwu-letniej służbie w wojsku angielskim, co jest sprzeczne z przysięgą żołnierza, jaką składali w P.S.Z.;
c) tak zwany kryzys zaufania i stąd niechęć nawet do chwilowego podporządkowania się PKPR, którego aparat oparty jest na starej hierarchii wojskowej.

Można godzić się lub nie godzić z powyższymi argumentami, nie mniej jednak reprezentowanie innego poglądu w tej sprawie — naszym zdaniem nie winno pociągać konsekwencji karnych w stosunku do żołnierzy, którzy argumenty te podzielają, nie naruszając prawa i ładu społecznego.

5. Byłoby błędem utożsamiać niechęć zapisania się do PKPR z uchylaniem się od pracy. Zaprzeczają temu następujące fakty:

a) większość żołnierzy P.S.Z. pracuje obecnie w obozach wojskowych bez prawa do urlopów i przy zmniejszonym żołdzie;
b) w niektórych obozach tzw. „oporni" pracowali ochotniczo u farmerów, lecz w miesiącu czerwcu 1947 r. zakazano im tej pracy, ściągając pracujących przymusowo na rozkaz brytyjskich oficerów łącznikowych z powrotem do obozów (Rampside, Greystoke, Whity Bush);
c) wielu żołnierzy posiada indywidualne pisemne kontrakty pracy z przedsiębiorcami angielskimi, z których nie mogą skorzystać jako żołnierze P.S.Z., niezapisani do PKPR.

6. Wobec zarządzeń władz brytyjskich wielu żołnierzy P.S.Z. zmuszonych zostało do szukania azylu i pracy przez emigrację z terenu Anglii, chociaż było ich życzeniem podjąć natychmiast pracę w Anglii i przyjść z pomocą społeczeństwu angielskiemu w ciężkiej sytuacji gospodarczej.

Przytaczając powyższe — żołnierze P.S.Z., tzw. „oporni" z ufnością i wiarą w życzliwe i sprawiedliwe rozpatrzenie całokształtu sprawy resztek P.S.Z., nie mogących wracać obecnie do Kraju jak i również w zrozumieniu i poszanowaniu ich przekonań i wolności sumienia proszą o demobilizację, prawo azylu i pracy.

W szczególności proponujemy następujący plan rozwiązania problemu t.zw. „opornych":

1. Wydzielenie z obozów P.S.Z. elementów przestępczych i umieszczenie ich w osobnym obozie.

2. Wydzielenie z obozów P.S.Z. repatriantów i emigrantów do Niemiec.

3. Przyśpieszenie repatriacji członków P.S.Z. do krajów zamieszkania przed wojną.

4. Ułatwienie i przyśpieszenie emigracji członkom P.S.Z., którzy pragną wyemigrować z W. Brytanii, a to przez:

a) cofnięcie rozkazu o nieudzielaniu paszportów zastępczych na podstawie zgłoszeń po 10 lipca 1947;
b) powołanie w Londynie przy Inspektoracie PKPR referenta, który zajmie się formalnościami związanymi z emigracją i repatriacją żołnierzy P.S.Z.;
c) zachowanie dotychczasowych przepisów demobilizacyjnych dla członków P.S.Z.;
d) ewentualne zgrupowanie żołnierzy-repatriantów i emigrantów w osobnym obozie przy umożliwieniu im pracy w okresie przejściowym.

W stosunku do członków P.S.Z. którzy pragną osiedlić się na stałe w W. Brytanii, proponujemy:

Potraktowanie członków P.S.Z. na równi z Polakami, którzy znajdują się na terenie W Brytanii, nie mają prawa wstąpienia do PKPR i uzyskali zapewnienie korzystania z prawa pracy (rozkaz War Office A.P.F. 2.A.S. 8/A 36 z 13 lipca 47). Traktowanie to winno zapewnić: a) demobilizację; b) prawo azylu; c) prawo pracy; d) połączenie z rodzinami przebywającymi dotąd poza W. Brytanią; e) natychmiastową demobilizację inwalidów, udzielenie im odprawy i zapewnienie równego traktowania z inwalidami brytyjskimi; f) przyznanie odprawy demobilizacyjnej według istniejącej lub innej procedury demobilizacyjnej. —

W okresie przejściowym prosimy władze brytyjskie o wydanie zarządzeń kładących kres represjom w stosunku do żołnierzy P.S.Z. Jedynym ich wynikiem jest stwarzanie nastrojów antybrytyjskich oraz przekonania o nieuszanowaniu w stosunku do tych żołnierzy wolności sumienia i poglądów, o których zachowanie w świecie żołnierze P.S.Z. walczyli u boku swych brytyjskich sprzymierzeńców i towarzyszy broni.

Wiadomości od kolegów z Kanady

(g.r.) Centrala SPK a zwłaszcza BIP — utrzymują stały kontakt z naszymi kolegami, którzy wyemigrowali do Kanady i pracują tam w charakterze robotników rolnych. Przychodzą zarówno listy indywidualne mówiące o tych czy innych potrzebach i kłopotach, jak też wiadomości bardziej ogólne, opracowane przez Oddział SPK w Kanadzie. Z listu otrzymanego z tego Oddziału w połowie sierpnia przez BIP cytujemy poniższe informacje:

„*Warunki pracy na roli w Kanadzie różnią się bardzo od europejskich. Farmy są porozrzucane, mają charakter handlowo-przemysłowy, warunki dla nowego przybysza są bardzo ciężkie. Praca nie jest ograniczona co do ilości godzin, nie uzyskuje się więc zapłaty za godziny nadliczbowe. Dobra koniunktura rolnicza stworzyła z farmera kanadyjskiego typ człowieka umiejącego swą farmę wyeksploatować. Robotnika rolnego traktuje on jako część swego inwentarza maszynowego.*

Trudno jest przybyszowi przystosować się do trybu życia farmera. Wyrzeka się on wszelkich rozrywek, — pracę ciągłą, nieprzerwaną traktuje jako środek do osiągnięcia w przyszłości dobrobytu. Warunki mieszkaniowe i wyżywieniowe na ogół dobre. Minusem jest, że się spożywa głównie pokarm konserwowy, gdyż brak czasu nie pozwala na sporządzenie innych potraw. Zdemobilizowani żołnierze kanadyjscy niechętnie pracują na farmach i uciekają do miasta.

Płace wahają się od 60 do 90 dolarów miesięcznie. Godzin nadliczbowych płatnych, jak wspomniano wyżej — nie ma. Ubezpieczenie robotników rolnych ma miejsce tylko w prowincji Saskatchewan, w innych prowincjach robotnik sam ubezpiecza się w towarzystwach ubezpieczeniowych. Nie ma na roli ubezpieczenia od bezrobocia. Urlopy są kilkudniowe i bezpłatne. Stosunek między pracodawcami a pracownikami jest na ogół przyjazny. Robotnicy kanadyjscy odnoszą się do kolegów polskich dobrze, wysuwają czasem zastrzeżenia, że przyjazd Polaków obniżył płace. W okresie żniw można zarobić nawet kilkaset dolarów miesięcznie.

Najlepszym rodzajem pracy jest uprawa tytoniu i sadownictwo. Ten rodzaj rolnictwa uprawiany jest w prowincji British Columbia, która jest najładniejszą krajobrazowo i najprzyjemniejszą klimatycznie częścią Kanady. Najlepiej płatna jest praca w lasach, warunki jednak są ciężkie, zwłaszcza w lecie, kiedy trapią komary.

Dobrym interesem jest prowadzenie hodowli kur i zwierząt futerkowych. Założenie małego przedsiębiorstwa wymaga wkładu gotówkowego około 1000 dolarów".

Kończąc na tym wyciąg z listu Oddziału SPK w Kanadzie podzielimy się z czytelnikami obserwacjami jednego z członków SPK kol. Mieczysława Krasińskiego, który pisze:

„*Warunki pracy są bardzo dobre. Na ogół wszystkie farmy są duże i zaopatrzone w dobry sprzęt rolniczy i traktory. Ilość godzin pracy jest rozmaita. W porze zimowej było 12 godz. dziennie, a obecnie jest więcej. Czasami wyjeżdżam traktorem w pole o czwartej rano a wracam o 11.30 wieczorem, lecz takich dni jest mało. Większość dni wygląda w ten sposób: farmer wyjeżdża w pole o 4-ej i pracuje do 8-ej. Ja natomiast wstaję o 6-ej, doję krowy, w czym pomagają mi jego córki, oprzątam inwentarz tzn. daję jeść świniom, cielętom itp.*

Po tych wszystkich zajęciach porannych i po śniadaniu jadę samochodem w pole, by zmienić farmera i wtedy jest już godzina 8-a. Obiad i podwieczorek przywożą mi na pole. Składa się to z licznych dań smacznie gotowanych. Co do kuchni to nie mogę narzekać, na taki wikt tylko na farmie można sobie pozwolić! Masło, śmietana, jaja oraz inne produkty domowe; owoce są w dostatecznej ilości przy każdym jedzeniu.

Na farmie nie ma ustalonych godzin pracy. Jak leje deszcz, to się siedzi w domu i nic się nie robi, a jak jest pogoda, to noc wypędzi i noc przypędzi, lecz mimo to nie czuję zmęczenia. Skoro nie ma ustalonych godzin pracy, to nie ma również płacy za godziny nadliczbowe. Za miesiąc maj otrzymałem zapłatę o 5 dolarów wyższą od normalnej: zwykle otrzymywałem 45 dolarów, a za maj farmer zapłacił mi 50 dolarów. W drugiej połowie maja był u mnie na polu urzędnik z powiatu (opiekun pracowników, a w szczególności polskich weteranów przybyłych niedawno do Kanady), który ze mną dyskutował ponad godzinę na temat warunków pracy, mieszkania i wyżywienia. Powiedział mi, że na ogół są zadowoleni tak pracodawcy, jak i pracownicy, tylko 4 b. żołnierzy na całą prowincję Alberta nie jest w zbyt dobrych stosunkach ze swymi pracodawcami".

Dziękujemy kol. Krasińskiemu za szczegółową i ciekawą odpowiedź na nasze pytania. Pisze on skromnie o sobie, że ma ciężką rękę do pisania, jesteśmy innego zdania, uważamy, że list jest napisany jasno, zrozumiale i dobrym językiem. Redakcja „Naszego Znaku" będzie się cieszyła, jeżeli kolega Krasiński częściej do niej napisze.

© Musées de Grasse, Alpes-Maritimes

Wspólny język

Niewątpliwie nikomu teraz nie jest łatwo, bo to przejście do pracy cywilnej wcale nie przedstawia się tak różowo. Jedni chcieliby pracować na roli u farmera, ale kierują ich do przemysłu budowlanego. Inni, których chcą dać na rolę, bronią się przed tym rękami i nogami.

Niektórzy twierdzą, że wynika to z braku wzajemnego zrozumienia. Anglicy niezbyt się podciągają w języku polskim i urząd pracodawczy nie może dogadać się z Polusami. A szkoda, bo niejednemu dałoby się wymyślić jakieś sensowniejsze zajęcie, a tak Polak musi iść tam, gdzie język jest niepotrzebny. Powiecie, że może by lepiej Polacy spróbowali nauczyć się mówić po angielsku... Że też mi to do głowy nie przyszło!

Ale żarty żartami, a tu Polak z Polakiem czasem porozumieć się nie może, chociaż podobno używają tego samego języka.

Bo oto na przykład przyszła i na mnie kolej przejścia do życia cywilnego. Musiałem złożyć ostatnią wizytę w jednostce, do której należę, aby załatwić formalności. Sprawa pilna, więc prosto ze stacji walę do kancelarii dowódcy Camp'u. Zapukałem, wszedłem. Za stołem adiutant. Ma o dwie gwiazdki więcej niż ja. Spotkało mnie złe spojrzenie. Stanąłem więc skromnie przy drzwiach.

Zawsze uważam, że im więcej okażę uprzejmości innym ludziom, tym większą odwzajemnią się grzecznością, bo to nawet na gbura powinno podziałać. Spróbowałem więc tej metody. Gospodarz łypnął na mnie ponuro i — nic. Czas mija. Obejrzałem pokój, krzesła puste. Możeby tak usiąść... Ale nikt nie powiedział, że można, więc stoję i czekam.

Nareszcie zauważono mnie oficjalnie.

— Czego? W jakiej sprawie?

Podciągnąłem się do postawy zasadniczej i podałem papiery. (Rozumiecie, ostatni raz służbowo — chciałem zostawić jak najlepsze wrażenie, choć byłem już w cywilnym ubraniu). Ale im bardziej „podciągałem się", tym bardziej kapitan stawał się komenderująco szorstki.

— Pan się spóźnił! Zostanie pan ukarany!

— Jakże nie miałem się spóźnić? Nie dostałem przecież od panów biletu na czas!

— Co!!? — zostałem natychmiast zgromiony. — Mamy ważniejsze sprawy na głowie. Poza tym pójdzie pan natychmiast do ewidencyjnego, bo ja nie mam czasu na rozmowy z panem.

— Czy to daleko? — spytałem pokornie. — Przepraszam bardzo, ale ja wprost ze stacji. Mam ciężką walizkę. Czy mógłbym ją zostawić przy dyżurnym gońcu w przedpokoju?

Przeszywające spojrzenie.

— A cóż? Ja mam pańskiej walizki pilnować! Jeszcze czego! Zabieraj się pan ze swoją walizką!

Chyba dość tej próbki. Ja też miałem dość, ale to już nie nadaje się do lekkiego feletionu.

Jeśli tacy ludzie załatwiają jeszcze teraz tych, którzy odchodzą z jednostek do życia cywilnego, kiedy chce się budować wspólny pomost porozumienia i utrzymać więzy koleżeństwa na przyszłość, to sądzę, że tacy ludzie szkodzą naszej sprawie i są nam zupełnie obcy, choć niby używają tego samego języka. Nie rozumiem, po co takich trzyma się jeszcze na stanowiskach.

A jest to tym przykrzejsze, że naprawdę autentyczne.

Na szczęście nie wszyscy są tacy.

JUŻ CYWIL

Na marginesie Konkursu

Co to jest reportaż literacki?

Jest to bezpośredni opis i oświetlenie faktów, poznanych naocznie i mających znaczenie aktualne dla większej ilości ludzi.

Rozpatrzmy po kolei każde słowo powyższej definicji, rozpoczynając od słowa „fakt". W reportażu literackim nie stwarza się fikcji, fabuły urojonej, postaci zmyślonych; opisuje się zdarzenia i ludzi istniejących, sprawy które miały lub mają miejsce w rzeczywistości. Akcent treściowy stawiany jest na opisie zdarzeń, ludzie są tylko satelitami faktów.

Zdarzenia opisane posiadać winny wszystkie cechy sprawdzalnej prawdy i wyraźne umiejscowienie w czasie i przestrzeni. Mogą być uzupełnione relacjami świadków, autentycznych i wiarygodnych.

Dlaczego w określeniu reportażu literackiego używam słowa „opis"? Dlatego, że reportaż może być nie tylko literacki: może być słuchowy, radiowy, kinowy, gdzie środkiem przekazania faktu będzie nie słowo pisane, lecz słowo żywe, lub zdjęcie fotograficzne.

Jedną z zasadniczych cech każdego reportażu jest aktualność, jak najmniejsza odległość w czasie, pomiędzy zdarzeniem a jego podaniem czytelnikowi, słuchaczowi, widzowi. Przedstawienie zdarzeń, które dzieją się właśnie, lub działy się niedawno — oto przedstawienie reporterskie. Jeśli ktoś rok temu zwiedzał i opisał zabytki Rzymu — nie napisał reportażu, lecz felieton, artykuł, opowiadanie, powieść — zależy od formy jakiej użył. Jeżeli natomiast opisał wtedy jakieś zdarzenie dziejące się właśnie we Włoszech, n.p. wyjazd wojsk polskich — dał reportaż, o ile zachował ponadto inne cechy tej formy pisarskiej.

Ale aktualność i prawdziwość opisanych zdarzeń, to mało. Muszą one jeszcze być ważne lub ciekawe dla szerszego ogółu. Jeśli ktoś opisze n.p. własny dom, choćby najprawdziwiej, nie będzie to reportaż, bo ten dom mało kogo obchodzi. Jest jednak pewien wypadek, kiedy pierwszy lepszy dom i życie w tym domu — obchodzić może wszystkich. Stanie się to wtedy, jeśli opis domu będzie dziełem sztuki. (Dąbrowska: „Noce i dni", Proust: „*Du coté de chez Swann*"). W dziele sztuki nie jest ważne, c o jest opisane, czy jest prawdziwe i kiedy stało. Ważne jest tylko j a k zostało opisane. Owo magiczne „jak" decyduje o zasięgu wpływu, o głębi wywołanego wrażenia, o wieloletniości trwania.

Teoretycznie, reportaż nie jest dziełem sztuki. Ale — może nim być. Kiedy? Jeśli będzie napisany utalentowanym piórem. Na to recept nie ma. Talent jest, albo nie. Podając określenie reportażu, zostawiłam miejsce na pojęcie talentu, używszy słowa „oświetlenie". Jeśli bowiem reporter opisze fakty prawdziwe, aktualne, naocznie poznane i zasadniczo ciekawe, a nie potrafi ich oświetlić, naświetlić, prześwietlić, to napisze reportaż, ale nikt go czytać nie będzie.

Skala reportażu jest ogromna, pojemność na treść — bogata. Począwszy od zręcznego sprawozdania z miejscowej wieczorynki, na które kilku znajomych rzuci chętnym okiem, czytając gazetę przy kawie; poprzez książki pouczające, poważne, urocze lub wstrząsające (Alain Gerbault: „Sam przez Atlantyk", Arkady Fiedler: „Jutro na Madagaskar", Zofia Kossak: „Pożoga"), aż do prac o potężnym wpływie politycznym (White: „*Report on the Russians*"), dużej wartości historycznej i artystycznej (Wańkowicz: „Bitwa o Monte Cassino"), lub sięgającej aż do dna wiedzy o szatanie w człowieku (Szamglewska: „Dymy nad Birkenau").

Reportażem o wysokiej klasie publicystyki, choć na granicy romansu kryminalnego jest n.p. sławna książka Krawczenki: „*I chose freedom*"; reportażem obyczajowym, politycznym i historycznym jest cenna praca, napisana po angielsku przez Polkę: „*The dark side of the moon*", i wreszcie najsławniejszy może reportaż współczesny: „*Hiroshima*" Hersey'a.

Co łączy te niewspółmierne książki, z których każda dyszała aktualnością w chwili pojawienia się, ale każda jest innej wartości, odmiennego zasięgu i z różnorodnych dziedzin? Jedna jest dziełem historycznym, druga studium obyczajów, inna walką polityczną, ale wszystkie łączy podobieństwo niektórych cech literackich, a przede wszystkim to, że głównym „bohaterem" każdej z nich jest określony, realny, niedawny fakt, lub zespół faktów, interesujący szerokie rzesze, naprawdę przeżyty przez autora i oświetlony jego talentem.

W określeniu reportażu pozostało niewyjaśnione jeszcze jedno słowo: „bezpośredni". Co znaczy opis bezpośredni? Znaczy to po prostu, że autor mówi właśnie to, co chce powiedzieć. Czy może być inaczej? Może, a nawet czasem powinno. Gdzie? Kiedy? W powieści, noweli, sztuce teatralnej, w poezji, we wszystkich tych rodzajach sztuki literackiej, w której (mówiąc skrótem) ważniejsze jest „jak", niż „co". Czy Sienkiewicz stwierdza wyraźnie, że Zagłoba jest dowcipny? Nie. Stwarza Zagłobę, a czytelnik ocenia go sam. Powieściopisarz buduje akcję, dzierga dialogi — pozostawia wnioski czytelnikom. Niczego sam nie stwierdza, nie ocenia; maluje, przedstawia, pokazuje: działa pośrednio, opisuje pośrednio, sugeruje. Poeta liryczny, nie mówiąc ani słowa o smutku, wywołuje smutek w czytelniku, opisując — chociażby deszcz, odpowiednimi obrazami, odpowiednim rytmem (Staff: „O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny").

Tymczasem reporter stwierdza: „zdarzyło się to a to, myślę o tym to a to".

Niewątpliwie łatwiej jest napisać reportaż niż powieść, bo opis bezpośredni jest łatwiejszy, niż dobra sugestia pośrednia. Ale można zaryzykować twierdzenie, że o ile do napisania powieści potrzeba więcej talentu, to do napisania reportażu — więcej inteligencji. Jest faktem zdumiewającym, lecz niewątpliwym, że istnieją dobre, a nawet znakomite powieści, napisane przez ludzi średniej, lub nawet miernej inteligencji, np. „Chłopi" Reymonta, a z konstelacji skromniejszej „Dziewczęta z Nowolipek" Gojawiczyńskiej. Widocznie nieraz wystarcza artyście sama zdolność odczuwania, instynkt konstrukcji, dar słowa. Natomiast reportaż dużej miary musi być dziełem tęgiego mózgu. Bo nie wystarczy namalować ludzi i krajobrazy barwami serca, trzeba zaobserwować znamienne fakty i umieć wyciągnąć z nich wnioski.

Na reportażu jednak, choćby najświetniejszym, ciąży przekleństwo czasu, od czego wolna jest powieść, nowela, sztuka scenniczna, wiersze, każda forma pisarska, o wartości której decyduje przede wszystkim „jak", a nie „co". Najlepszy reportaż przemija wraz z aktualnością faktu. Dobra powieść krzepnie, poemat rozkwita. „*Report on the Russians*", spełniwszy swoje zadanie, blednie, bo światu zachodniemu już otwierają się oczy na rzeczywistość sowiecką, ale mickiewiczowski dwór w Soplicowie stoi w pełnym blasku, chociaż zginęły dwory litewskie i ginie Litwa sama. Wizja artysty żyje dłużej, niż fakty życia. Może nawet — chociaż dzisiaj nie wydaje się to prawdopodobne — wicher nowych czasów rozwieje kiedyś tragiczne dymy nad Birkenau, lecz po dawnemu wplecie w życie Polaków niezmienną urodę postaci z „Wesela", „Lalki" „Popiołów", „Trylogii".

Niektóre książki istnieją na pograniczu reportażu i innych form pisarskich: powieści, essay'u, felietonu. N.p. Koestlera „*Thieves in the night*", będąc bezpośrednim opisem faktów aktualnych, rzeczywistych, naocznie widzianych i szeroko interesujących — życie i walka Żydów w Palestynie — ilustrowane jest jednak powieściowo postaciami ludzi, malowanych w taki sposób, że nie zbledną, nawet kiedy sprawa palestyńska ucichnie. W Huxley'a „Nad zatoką meksykańską", podróż po Ameryce Środkowej pełna jest najrealniejszych zdarzeń, które jednak są tylko pretekstem do luźnych — na modłę essay'u — rozważań filozoficznych, psychologicznych, socjologicznych. Malaparte, w reportażu p.t. „*Kaputt*", opisując przede wszystkim fakt klęski Niemiec, ślizga się felietonowo z niezwykłym, choć nieco podejrzanym wdziękiem po fragmentach i okruchach zdarzeń, od rozmowy z królem szwedzkim, do obiadu u Franka na... Wawelu, i od przyfrontowej wsi ukraińskiej do bombardowanego Neapolu.

Różnorodność i płynność form pisarskich dowodzi, że wszelkie próby ścisłego szufladkowania rodzajów literackich są niedorzecznością. Można tylko dostrzec i nazwać pewne cechy każdego z rodzajów. Rzadko da się wyodrębnić okazy typowe, jak w naukach przyrodniczych. Krytyka literacka nie jest bowiem nauką ścisłą i nie jest nauką w ogóle. Nie stawia hipotez, nie dowodzi ich za pomocą doświadczeń i obliczeń. Nie jest też lekcją rzemiosła, ani zbiorem przepisów. Jest teorią wartości. Bada dzieła pióra, ocenia i uczy oceniać. Czasem próbuje dowieść słuszności swojej oceny.

STANISŁAWA KUSZELEWSKA

Ciekawy wyrok sądowy

Wnoszącym skargę jest robotnik Portu Londyńskiego, pracujący na zasadzie ustawy „Prace o publicznym znaczeniu" (Essential Work. Dock Labour Order, 1943).

Zgodnie z planem pracy robotnicy, którzy w danym czasie nie byli stale zatrudnieni w pracy przeładunkowej w porcie, tworzyli coś w rodzaju grupy rezerwowej. Grupa rezerwowa musiała być zawsze gotowa na wezwanie do pracy co najmniej 2 razy dziennie i nie mniej, niż 11 razy tygodniowo. Robotnicy tej grupy otrzymywali za to odpowiednie wynagrodzenie. Robotnik, który nie zjawił się dwukrotnie na wezwanie bez odpowiedniego uzasadnienia nie otrzymywał tygodniówki. W wypadkach nieobecności uzasadnionej otrzymywał odpowiedni znaczek (pieczątkę), upoważniający go do wynagrodzenia za resztę tygodnia.

Sekretarz miejscowego związku zawodowego uzgodnił z dyrekcją portu, że robotnicy biorący udział w zebraniach związku i opuszczający z tego tytułu pracę na wezwanie — będą uważani za wytłumaczonych i otrzymają pieczątkę.

Robotnik wnoszący skargę nie chciał wziąć udziału w zebraniu i z j a w i ł s i ę n a w e z w a n i e d o p r a c y. W związku z tym „The National Dock Labour, Ltd." — firma, w której pracował, odmówiła mu wypłaty należnej tygodniówki, uważając widocznie, że dla niej ważniejsze są dobre stosunki ze związkiem, niż zatrudnienie ludzi. Robotnik oczywiście zaskarżył firmę o odmowę należnej mu zapłaty za pracę, (na podstawie „Employers & Workmen Act, 1875). Sąd uznał skargę robotnika za słuszną. Wobec tego firma wniosła apelację.

Sąd Apelacyjny odrzucił skargę firmy i zatwierdził wyrok Sądu I instancji uznający prawa robotnika — i uzasadnił to tym, że sekretarz związku zawodowego nie miał prawa robić umów, które by zwalniały robotników od obowiązku stawiania się do pracy na określony dzień. Sekretarz nie był również upoważniony do pozbawienia robotnika prawa stawienia się do pracy zgodnie z umową i w konsekwencji — wynagrodzenia.

Wynika z tego, że obowiązki wobec związku zawodowego nie są ważniejsze od obowiązku pracy.

Jest to przykład, jak trudno nawet Brytyjczykowi zorientować się w kwestiach związanych z prawem pracy i zagadnieniami związków zawodowych. A cóż dopiero my — biedni cudzoziemcy możemy o tym powiedzieć!

ZEN

Listy do Redakcji

LIST Z CESARSTWA KAO — PAO

Drogi Panie Redaktorze! Czytając „Nasz Znak" zauważyłem, że stara się Pan naprawdę bezstronnie bronić niektórych spraw, a ewentualnie napiętnować tam, gdzie nie zawsze znajdzie się ktoś odważny, by daną sprawę wyciągnąć na światło dzienne.

Dziś chciałem do Pana napisać o czymś, co naprawdę warto by bardzo naprawić, a nawet zmienić. Mianowicie gdzieś niedaleko Perth istnieje wielki polski obóz pełen oficerów, którzy uczą się leśnictwa, rolnictwa oraz chowu kur. Obóz jest piękny, dobrze zorganizowany, ma swoje kino, ba! nawet i kantynę, oraz wiele, wiele innych udogodnień życiowych.

Obóz istnieje już kawał czasu, pogoda jest piękna — lecz... Ach, jak trudno wszystkim dogodzić! Do dzisiaj na stan około 200 oficerów i tyluż szeregowych nie ma nauki języka angielskiego. Bo i pocóż tym sobie głowę zaprzątać. Wprawdzie mogłaby być nauczycielka (co za luksus w W. Brytanii) — podobno była nawet już przez kogoś zamówiona...

Może nie ma komunikacji, nie ma funduszów i t.p.? Tymczasem kino nasze stale pełniusieńkie, wstępy od 3 s w dół. Raz w tygodniu dochodowa zabawa — wstęp dla oficerów (jest ich tu zupełna większość) — 3 s. Za ciastko, które kosztuje w każdej innej kantynie, *Church of Scotland* czy *Salvation*, 1 d — 2 d, tu płaci się — 3 d. Do tego trzeba jeszcze dodać dochód z ogrodów (chociaż może niewielki, ale zawsze jest). A na zapłacenie nauczyciela angielskiego, (ba, nawet można by mu już nie autobus, jeśli brak dla takich celów wozu służbowego — ale taksówkę zafundować) — nie ma pieniędzy.

Ktoś ze znajomych powiedział mi: „No, to przecież poruszcie tę sprawę na zebraniu oficerów, to przecież jest poważne". Niestety tu — jak moja pamięć sięga — żadne jeszcze zebranie oficerskie nie odbyło się.

Drogi Panie Redaktorze, to nie bujda, co Panu napisałem. Niech Pan sam sprawdzi lub przez kogoś, że źle się dzieje w Cesarstwie Kao — Pao.

Łączę serdeczne pozdrowienia i życzę powodzenia w dalszym grzebaniu się w rodzinnym śmietniczku.

Findo-Gask Camp, nr. Perth,
we wrześniu.

W. K..

(Nazwisko autora znane redakcji)

Chociaż podobno szanujące się redakcje unikają drukowania listów pochwalnych, rezygnujemy z tej szlachetnej zasady, aby wykazać na żywym przykładzie, że Czytelnicy doceniają pozytywną stronę naszego „grzebania się w śmietniku". Dziękujemy serdecznie za miłe słowa. Co do tej „odwagi" — to nieco przesada. Nie jesteśmy przecież sami, należymy do siedemdziesięciu tysięcy Kolegów, tworzących wielką rodzinę komandancką SPK. W takiej gromadzie można się czuć mocno.

Kolega słusznie do naszej opinii dołączył swój głos. Sprawa nauki języka angielskiego jest o wiele ważniejsza, niż to niejednemu może się wydawać, (póki siedzi w polskim obozie). Jak dotychczas — nic nie wskazuje, by Brytyjczycy mieli zamiar nauczyć się mówić po polsku. Świadomość tego powinna wreszcie strząsnąć marazm, pobudzić do czynu i usunąć karygodne zaniedbanie w „Cesarstwie Kao — Pao".

W INTERESACH NIE MA SENTYMENTU

KOMUNIKATY

BIURA INFORMACJI I PORAD SPK
20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.
Oddział w Edynburgu:
13, Glencairn Crescent, Edinburgh.

KONKURS NA DWA STANOWISKA REFERENCKIE

Zarząd Oddziału SPK W. Brytania ogłasza dla członków SPK konkurs na dwa stanowiska referentów.

Wymagane kwalifikacje:

a) praktyka gospodarczo-handlowa,
b) b. dobra znajomość języka angielskiego w słowie i piśmie,
c) uregulowane stosunki prawne, umożliwiające natychmiastowe podjęcie pracy.

Wynagrodzenie £ 32 miesięcznie.

Równocześnie zaznacza się, że pierwszy miesiąc pracy należy traktować jako okres próbny.

Podania wraz z życiorysem należy kierować do Zarządu Oddziału SPK W. Brytania, 20, Queen's Gate Terrace, London S.W.7 w terminie do 1 października b.r.

Podania nieuwzględnione pozostaną bez odpowiedzi.

PRACOWNIK TEKTUROWY

Fabryka wyrobów tekturowych poszukuje od zaraz młodszego (małoletniego) pracownika na przeszkolenie w dziale wyrobów pudełek tekturowych itp. Płaca na początek £ 3.10- tygodniowo. Możliwości szybkiego awansu i podwyżki płacy. Zgłoszenia bezpośrednio do pracodawcy: W. Skąpski, Cardboard Works, 16, Wendell Road, London W.12. Dla zgłoszeń osobistych godziny przyjęć: 10 — 12 i 3 — 4 po południu.

U W A G A — KANDYDACI NA PRZEDSIĘBIORCÓW

Dołączę się z kapitałem i doświadczeniem rzeźnicko-kucharskim — także mechanika samochodowego do zakładającego się przedsiębiorstwa. Oferty proszę kierować na adres: M. Tomaszewski, Shingle Cottage, Newburgh, Fife, Scotland.

W SPRAWIE WIZ IMIGRACYJNYCH

Z Polskiego Biura Imigracyjnego — American Relief For Poland—Immigration Committee, 25 St. Marks Place w New Yorku donoszą:

W związku z licznymi zapytaniami w sprawie udzielania pomocy ŻOŁNIERZOM POLSKIM w uzyskaniu wizy imigracyjnej do Stanów Zjednoczonych donosimy co następuje:

W myśl obowiązujących obecnie przepisów i zarządzeń pierwszeństwo w uzyskaniu wiz imigracyjnych mają POLACY WYSIEDLEŃCY — „Displaced Persons" znajdujący się w amerykańskiej strefie okupacyjnej w Niemczech i Austrii. Znikomy tylko odsetek „kwoty polskiej" przeznaczony jest dla Polaków przebywających w innych krajach, do których zostali wojną zapędzeni.

Spodziewamy się w bliskiej przyszłości rozszerzenia „polskiej kwoty" imigracyjnej, jako też dodatkowych ustaw co do „Displaced Persons" oraz ŻOŁNIERZY POLSKICH, i zagadnienia te są już przedmiotem obrad amerykańskich ciał ustawodawczych. Jednakże do chwili uchwalenia nowych ustaw są w mocy przepisy wymienione na wstępie.

Wobec powyższego radzimy ażeby osoby starające się o przyjazd do Stanów Zjedn. przeprowadziły dokładnie formalności wstępne (rejestracja i złożenie affidavitów w najbliższych konsulatach amerykańskich) i informowały Polski Komitet Imigracyjny, 25 St. Marks Place, New York City, N.Y. o każdorazowej zmianie adresu, tak ażeby mógł w odpowiednim momencie sprawy tych osób bez zwłoki załatwić.

POLSKI KOMITET IMIGRACYJNY
Ks. F. Burant, dyrektor, Jan S. Pargiełło, ast. dyr.

UTRZYMUJMY KONTAKTY POLSKIE

(a.r.) Biuro Informacji i Porad SPK znalazło pracę jednemu z kolegów, który pisze:

„*Dzięki pośrednictwu Panów otrzymałem pracę kelnera i jestem bardzo zadowolony. Zarabiam £ 4 10 s. i całe utrzymanie i mieszkanie. Zimą będę miał o półtora funta mniej, gdyż to jest na prowincji. Właściciel i reszta obsługi tego hotelu są bardzo grzeczni i dobrze ustosunkowani. Jedzenie pierwszorzędne bez ograniczenia. Tak samo mieszkanie bardzo przyzwoite w tym hotelu. Chcę w związku z tym serdecznie podziękować Panom za wyszukanie mi tej pracy, która, mam nadzieję, da mi upragnioną samodzielność. A gdy będę w przyszłym tygodniu w Londynie przyjdę osobiście podziękować oraz chciałbym z Panami i Stowarzyszeniem nawiązać łączność*".

List jest przyjemny, świadczy nie tylko o tym, że można sobie w naszych trudnych warunkach polskich za granicą życie możliwie ułożyć. Jeszcze ważniejsze jest to, że po urządzeniu swych spraw materialnych koledzy nasi ciążą do ośrodków życia polskiego, nie chcą zginąć bez śladu w morzu obcości. Stowarzyszenie spełni rolę łącznika między kolegami rozproszonymi po świecie.

Redaguje Wydział Prasowy Stowarzyszenia Polskich Kombatantów — 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7 — tel. WEStern 0747.

© Musées de Grasse, Alpes-Maritimes

B.D.I.C.

Noc pierwszego lutego

Stara Osipowa miała zupełną słuszność. Tych dwu, o których mówiła, było rzeczywiście w agonii. Wziął puls raczej z przyzwyczajenia. Długo próbował pulsu.

— Tak, — szepnął znowu do siebie — z tych istotnie nic nie będzie do rana. A szkoda!

Wyjął słuchawkę, odkrył koszulę pierwszego chorego i cofnął się nagle. Pierś mężczyzny była płaska, jak deska obciągnięta suchą, żółtą, prawie przeźroczystą skórą. Lecz, co było przerażające, to serce, całkowicie przezierające przez skórę i wychudzone żebra. Widać było to serce, jak nienaturalnie spłaszczoną, krwawą miazgę małej, karykaturalnej ośmiornicy, która się wije, walcząc, bijąc i zamierając, rozszerzając się i kurcząc, płaszcząc i rosnąc, zamierając coraz wolniej, bijąc coraz ciszej, ciszej.

Drugi chory, jego najbliższy sąsiad, leżał na wznak dyszał ciężko z braku tchu. Fomin dotknął jego czoła. Czoło to było rozpalone, jak cegła wyjęta z pieca.

Weszła teraz Natasza, niosąc ostrożnie strzykawkę i pudełko ze szklanym skarbem ampułek. Doktor wziął od niej narzędzia, a potem dotknął nieznacznie ramienia Nataszy, dając jej znak.

— Obejrzyjcie, proszę resztę chorych.

Sam on zaś podszedł do stolika, gdzie stała ostro świecąca lampa i leżały różne szpitalne drobiazgi. Siadł na krześle, wyjął kilka maleńkich ampułeczek, przejrzał je — nie wiadomo po co — pod światło i potem wyciągnął strzykawkę i igły. Natasza tymczasem obchodziła łóżka po kolei. Tu poprawiła słomianą poduszkę, tam podciągnęła koc, gdzie indziej nalała wody do glinianego garnuszka stojącego na drucianym stoliku.

Jakiś chory prosił o „kaczkę". „Kaczka" było to szpitalne, użytkowe naczynie. Chory nie mógł wstać, tak był słaby. Natasza podźwignęła go ostrożnie, podsunęła mu „kaczkę" i później ułożyła go na łóżku z powrotem.

Inny chory leżący obok jęczał strasznie i mamrotał coś niezrozumiale w gorączce.

Znowu ktoś wzywał Nataszę.

Jej filcowe podeszwy sunęły bezszelestnie po posadzce. Fomin skończył przeglądanie instrumentów i patrzył ciekawie na ruchy Nataszy.

Ona obeszła już wszystkich i zatrzymała się teraz koło łóżka tego młodego, nieznajomego Polaka, który stracił przytomność zaraz po kąpieli i przelękła się nie na żarty. Nieprzytomny ciągle dotąd chłopak, wpatrywał się w nią teraz czarnymi, błyszczącymi od gorączki oczami. Natasza chciała w tym przestrachu zapytać o coś, lecz stała tak i patrzyła na niego, a jego oczy wbite w nią uporczywie, pałały niesamowitym, silnym blaskiem. On też chyba musiał być bardzo zdziwiony i po chwilowym, tak raptownym odzyskaniu przytomności, usiłował sobie coś przypomnieć, widocznie nie mógł, i patrzył w nią, tymi straszliwie czarnymi oczami, aż ją dreszcz przeszedł.

— *Skolko wremia?* — zapytał znienacka po rosyjsku.

Nie odpowiedziała z początku, tak ją zaskoczyły te dziko pałające, mocne oczy i jego głos.

Nieznajomy zapytał znowu:

— Która teraz godzina?

Podeszła szybko do łóżka i powiedziała, dokładnie nie wiedząc, co mówi:

— Proszę o nic nie pytać, nic nie mówić — zmieszała się zupełnie — proszę leżeć spokojnie.

— *Skolko wremia teper?* — uparcie pytał chory.

— Trzecia godzina — odpowiedziała, sama nie wiedząc kiedy i natychmiast po tym pobiegła szybki do Fomina.

— Michaił Pawłowicz — mówiła pośpiesznie — ten czarny Polak odzyskał przytomność. Jak się cieszę!

Fomin spojrzał na nią, uśmiechnął się i odparł zimno:

— Nie ma się czym cieszyć. To chwilowe; typowo chwilowe. Natasza, wy musicie mieć więcej doświadczenia i spokoju w ocenie choroby. Takie nawroty jak w tym wypadku zdarzają się czasem, a potem przychodzi nowa fala gorączki, gwałtowny kryzys, zupełny upadek sił, serce nie wytrzymuje i często potem następuje śmierć. O niego właśnie boję się więcej, niż o kogokolwiek. On może nawet wyzdrowieć i zgasnąć potem raptownie, jak świeca. To bardzo niebezpieczny typ fizyczny, ten młody człowiek!

— Doktorze, proszę, bardzo proszę, czy nie można by właśnie spróbować uratować go, choćby dla samego tylko doświadczenia? Teraz jest zupełnie przytomny, tak mi się wydaje.

— Nie; mylicie się, Natasza, on nie jest zupełnie przytomny — jeszcze dobitniej i twardziej powiedział doktor — ale rzeczywiście jego również postanowiłem ratować. Nie wiem, dlaczego tak postanowiłem, ale jego, myślę, warto ratować za wszelką cenę.

Natasza stała i słuchała Fomina z twarzą tak rozpromienioną, jak jeszcze nigdy. Po raz pierwszy widziała młodego, zazwyczaj burkliwego, opryskliwego, zimnego, nieprzystępnego i bez serca — jak mówiła zawsze o nim siwa lekarka z ewidencji — moskiewskiego lekarza, gdy w jego głosie zabrzmiała obecnie ciepła siła entuzjazmu i stanowczości.

Fomin, widząc zasłuchanie Nataszy, uśmiechnął się łagodnie.

— Zaświecić maszynkę, Natasza, zagotować wodę, przesterylizować strzykawkę i igły. Prędko!

Drżały jej ręce. Zapaliła podręczną maszynkę spirytusową, stojącą zawsze na stole w pogotowiu, nalała wody do emaliowanej miski, położyła miskę na płomieniu. Jej żywotna natura pielęgniarki wzięła od razu górę nad chwilowym przejęciem.

Doktor tymczasem podszedł do chorego, ujął go za puls i długo badał. Później przyłożył ściśle słuchawkę do serca i słuchał. Serce biło nieregularnym, urywanym biciem. Walczyło potężnie z przemożną trucizną gorączki i nie chciało ustać, broniąc się i bijąc.

Chory leżał cicho podczas badania i nie powiedział ani słowa. Tylko jego oczy nadal świeciły tym samym suchym blaskiem, który lekarz znał tak dobrze ze swej praktyki.

Po ukończonym badaniu Fominowi błysnęło coś nagłego w głowie. Odsunął koc i obnażywszy zupełnie chorego, przywołał Nataszę.

— Natasza, proszę się dobrze temu przypatrzyć. To bardzo klasyczny przykład tyfusu plamistego. Prawdziwy okaz. Można by go sfotografować w kolorach i rozesłać do klinik dla nauki studentów.

Natasza patrzyła szeroko otwartymi oczami.

— O, — widzicie? — Ta linia liliowych, wiotkich cieni z koralowymi odgałęzieniami, wiodąca od szyi do kości łonowych poprzez płuca i żołądek, opadająca zygzakowato na biodra? Te czerwono-błękitne, koralowe plamy na brzuchu, delikatne jak bzowa kiść przebita przez ciemnię, to są prawdziwie znamiona tyfusu plamistego, który można spotkać tylko u nas, w Rosji, i to w centralnej Azji, w tak czystym, nienagannym wydaniu.

Dziewczyna patrzyła z lękiem i ciekawością na przerażająco chude ciało mężczyzny obnażone jeszcze wyraźniej teraz przez ostre światło lampy, pokryte tymi straszliwymi, tyfoidalnymi znakami, jak tajemniczym, różowym pismem.

Wtem Fomin zauważył jeszcze coś nowego.

— Natasza, proszę podnieść jego prawą nogę i przysunąć bliżej do światła.

Lekarz długo patrzył na brązowe, jakby wyżarte przez złośliwy liszaj, plamy na skórze.

— Dosyć. Wystarczy.

Pielęgniarka ustawiła nogę chorego na dawnym miejscu i machinalnie, bez żadnej myśli, położyła rękę na jego udzie spalonym przez gorączkę, suchym jak rozpalone żelazo.

— Tak. Hm, — mruknął do siebie Fomin. — Ślady niedawnego, przewlekłego szkorbutu. Tak, to w ogóle bardzo ciężki wypadek. A no, zobaczymy. Zobaczymy.

Chory być może posłyszał coś z tej szeptem prowadzonej rozmowy, bo otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć. Lecz poruszył tylko wargami. Patrzył wciąż ostro, szeroko.

Strzykawka i igły były już wysterylizowane.

— Czy to kamfora? — spytała Natasza.

— Tak. Nie mam absolutnie niczego innego. Mam cztery ampułki kofeiny, ale te muszę schować na później. Jak i to wyczerpię, cóż, to koniec mojej medycyny. Kamfora mu zresztą teraz pomoże znakomicie. Przy takim wyczerpaniu serca nawet świetnie!

Natasza smutnie się uśmiechnęła, odpiłowywując szklany łebek ampułki. Doktor wciągnął powoli żywiczny, ożywczy płyn do strzykawki i nachylił się nad chorym.

Krąg lampy przysuniętej przez Nataszę padał prosto na ramię chorego. Zręcznym ruchem zwinęła Natasza rękaw koszuli, przeciągnęła skórę jodyną; spirytus i miły zapach jodu ulotniły się momentalnie, a Fomin szybko wbił igłę w suchą skórę, umiejscowił i nacisnął tłoczek strzykawki.

Ostry, świeży, energiczny sok kamfory rozlał się w mięśniu natychmiast i zagrał iskrami w żyłach. Chory otworzył szeroko usta, chwycił oddech, potem zaczął oddychać szybciej i głośniej. Jego pałające oczy złagodniały i zwilgotniały nieco. Ciało się rozprężyło, a na wargach pojawił się uśmiech prawie dziecinny.

Lekarz wyjął teraz szybko igłę i Natasza natychmiast zajodynowała nakłute miejsce. Upłynęło może kilka, nie więcej jednak jak kilkanaście sekund, i wtedy stało się coś, czego w ogóle się nie spodziewała. Chory chwycił ją za rękę, przycisnął gorące wargi, aż ją ten żar gorączki przeszedł całą. Potem zapytał:

— Którego jest dzisiaj?

— Pierwszego lutego.

— A który to rok?

— Który rok? — powtórzyła Natasza, nie rozumiejąc pytania.

— Tak — szepnął chory — który to rok?

— Pierwszego lutego tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku.

On popatrzył, oczy mu pociemniały i znowu się zapaliły. Jeszcze raz usiłował dotknąć jej ręki swą wychudłą dłonią i wówczas nagle oczy zapaliły mu się powtórnie szaleńczymi ogniami gorączki.

Jakby zesztywniał i począł szeptać nieprzytomnie:

— Pierwszego lutego tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku! Pierwszego lutego tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku!

Po czym ucichł i zapadł znowu w febrę tyfusową, całkowicie nieprzytomny.

Natasza i Fomin stali długo nad jego łóżkiem, słuchając chorych majaczeń, od których nie było dla niego teraz ani ucieczki, ani żadnego ratunku.

MARIAN CZUCHNOWSKI

Opowiadanie „Noc pierwszego lutego" wyjęte zostało z powieści Mariana Czuchnowskiego, zatytułowanej: „Tyfus, teraz słowiki", przygotowanej obecnie do druku. Akcja książki toczy się w trzecim szpitalu epidemicznym na Starym Mieście, w Taszkencie, gdzie autor spędził półtora miesiąca chory na tyfus plamisty. (Red.).

Kiedy wlazłeś między wrony...

„I will do it for you..."

O „*I*", o „*you*", o „*he*", o „*she*" była mowa w felietonie, poświęconym płci wyrazów, czyli rodzajowi, natomiast mało czasu oddaliśmy zaimkowi nijakiemu „*it*", na który nadziewamy się najczęściej. „*It was the best of times, it was the worst of times, it was the age of wisdom, it was the age of foolishness, it was the epoch of belief, it was the epoch of incredulity, it was the season of Light, it was the season of Darkness, it was the spring of hope, it was the winter of despair... It was the year of Our Lord one thousand seven hundred and seventy five*" (Był to najlepszy z czasów, był to najgorszy z czasów, był to wiek rozumu, był to wiek głupoty, była to epoka wiary, była to epoka niedowiarstwa, była to pora Światła, była to pora Ciemności, była to wiosna nadziei, była to zima rozpaczy... Był to Rok Pański tysięczny siedemsetny siedemdziesiąty piąty — początek „*A Tale of Two Cities*" (Powieść o dwóch miastach) Ch. Dickensa).

Zaimka „*it*" używamy przy czasowniku, oznaczającym najczęstsze w Anglii zjawisko atmosferyczne, zatem — deszczu. „*It rains*" (pada — zawsze, stale), „*it is raining*" (pada — w tej chwili), „*it freezes*" (marznie), „*it snows*" (pada śnieg), „*it thaws*" (topnieje), „*it is very cold to-day*" (dzisiaj jest bardzo zimno), „*it will be foggy to-night*" (mglisto będzie wieczorem), „*it is nasty weather*" (paskudna pogoda) itd., z czego widać, że zaimek nieodmienny „*it*" króluje nieodmiennie przy omawianiu rzeczy w Anglii zawsze i niezmiennie aktualnej, zatem deszczu, mgły i zimna. Lecz Anglicy kochają także i klimat tej wyspy.

Trzeba szanować tę gorącą miłość zimnej ojczyzny, dlatego też, dr. A., tak zaczynaj każdą absolutnie rozmowę od słów „*Nice day! Isn't it?*" Chwal pogodę, choćby lało jak z cebra, choćbyś miał przemoczone nogi, choćbyś zgubił parasol, choćbyś kichał, choćby ci po kościach łaziła grypa, którą tu dla częstotliwości jej zwą „*flu*" co stanowi od frontu i od tyłu skrót słowa „*influenza*".

Wszelako nie zgrzeszysz przeciwko samej gramatyce, używając w Anglii zwrotów tak przesadnych i niezgodnych z rzeczywistością, jak np. „*It is very hot*" (jest bardzo ciepło), „*it is a sunny day*" (dzień jest słoneczny) „*it is fine weather*" (ładna pogoda) itp.

Tak samo w połączeniu ze słowem posiłkowym „*to be*" (być) — w trzeciej osobie „*is*" (jest) „*was*" (był, a, o), „*will be*" (będzie) — używamy zaimka nijakiego „*it*" w zwrotach, jak np. „*It seems to me that*", (zdaje mi się, że), „*it is not to be thought*" (jest nie do pomyślenia), „*it is not much to be wondered*" (nie należy się zbytnio dziwić), „*it is the result*" (jest to skutkiem), „*it would be very interesting to hear your point of view*" (byłoby bardzo interesujące usłyszeć pański punkt widzenia) itd., czyli „*it*" odpowiada dosłownie naszemu „to", które jednak połykamy często, podczas gdy Anglicy niemal chronicznie zaczynają zdanie od owego „*it*". „*It is not the result of accident merely, or of good fortune ... that the English race ... has succeeded in establishing and maintaining the most liberal forms of government. It is, on the contrary, a perfectly natural outcome of organic development*" (Nie jest wynikiem czystego trafu czy dobrego losu ... że angielskiemu plemieniu udało się ustanowić i utrzymać najbardziej liberalne formy rządu. To, przeciwnie, jest całkowicie naturalnym skutkiem organicznego rozwoju — Wodrow Wilson).

„*It never rains but it pours*" (nigdy nie pada tylko leje — stare przysłowie angielskie). „*It isn't what he says, but the nasty way he says it*" (Nie o to idzie, co on mówi, ale o paskudny sposób, w jaki on mówi), „*It wasn't what he said, but the charming way he said it*" (Nie szło o to, co powiedział, ale o czarujący sposób, w jaki to powiedział). Dr. A., ponownie zwracam uwagę, że tłumaczę już nie tak dosłownie, jak w poprzednich lekcjach.

Zaimki osobowe, jak zresztą widać z cytowanych przykładów, występują nie tylko w przypadku zasadniczym, ale i w zależnym, przy czym tylko „*it*" i „*you*" zadawalają się tą samą formą, podczas gdy inne, skorzystawszy z tej sposobności, biorą na się inny kształt. „*I*" zmienia się na „*me*", „*he*" na „*him*", „*she*" na „*her*", „*we*" na „*us*" oraz „*they*" na „*them*". Przypadku zależnego używamy w roli podmiotu, podmiotu logicznego, podmiotu uzupełniającego oraz przedmiotu bliższego i dalszego. „*Don't curse!*" (Nie klnij!), Dr.A., z powodu kapki objaśnień, jakie muszę sypnąć w postaci przykładów.

1. „*America and us*" (nie „*America and we*". Nb. można także powiedzieć „*America and ourselves*"). Zaimek „*us*" występuje jako podmiot, choć ma formę przypadka zależnego. Zwrot „*America and us*" przetłumaczymy na polskie jako „Ameryka i my", nie „Ameryka i nas".

2. W trybie rozkazującym zaimek „*me*" i „*us*" jest podmiotem logicznym: „*let me die*", (niech umrę, niech skonam), „*let us drink*" (pijmy). Czasownik „*to let*" znaczy pozwalać, sprawiać, dopuścić itd., w trybie zaś rozkazującym odpowiada naszemu przysłówkowi „niech, niechaj".

3. „*It's always me who is wrong*" (To zawsze jestem ja, który nie mam słuszności — poprawniej: zawsze ja nie mam słuszności). W tym wypadku zaimek „*me*" występuje w charakterze podmiotu uzupełniającego podmiot zastępczy „*it*". Kapujesz, dr. A.?

4. Przedmiotem bliższym jest zaimek, mający formę przypadka zależnego, zatem np. „*us*" w zdaniu: „*And they beat us on with rods*" (A oni biją dalej nas rózgami). Kogo biją? Nas. To „nas" jest, oczywiście, przedmiotem bliższym, podczas gdy „*him*" jest przedmiotem dalszym w zdaniu: „*the captain gave him eleven blows with a cane*" (kapitan — mowa o kapitanie drużyny sportowej — dał mu jedenaście uderzeń trzciną — z książki H.W. Nevinson'a „*Rough Islanders*" (Nieokrzesami wyspiarze).

5. W zdaniu „*Give me a revolver*" zaimek „*me*" jest przedmiotem dalszym, równie jak „*him*" jest przedmiotem dalszym w zdaniu: „*he gave him a kick*" (dał mu kopniaka), jednak wypada pamiętać, o czym już była mowa w rozdziale o przyimkach, że zaimek osobowy może być użyty jako przedmiot dalszy w połączeniu z przyimkiem „*for*" albo „*to*". „*Write to her*" (pisać do niej), „*send for him*" (posłać po niego).

Połączenie przyimkowe zatem występuje w wypadku, gdy zdanie albo nie posiada przedmiotu bliższego „*write to her*" — domyślne „*a letter*" (list), „*an obituary*" (zawiadomienie pośmiertne), albo gdy przedmiot bliższy wyrażony jest za pomocą zaimka osobowego np. „*it*", *lub* wskazującego „*this*" czy „*that*" (ten, ta, to, — tamten, tamta, tamto). „*I will do it for you*" (zrobię to dla pana).

Są jednakże takie czasowniki, które ani rusz nie dadzą się w ogóle użyć bez połączeń przyimkowych, tzn., że musisz do przedmiotu dalszego zaprzęgnąć przyimek, a to bez najmniejszego względu na okoliczności, więc niezależnie od tego, czy zdanie ma przedmiot bliższy czy go nie ma, względnie czy przedmiot bliższy jest albo nie jest wyrażony za pomocą zaimków.

Najważniejsze z tych czasowników-rebeliantów są np.: „*to describe*" (opisać — „*I described to her the advantage of teaching her Polish*" — opisałem jej korzyść z uczenia jej po polsku), „*to explain*" (wyjaśniać, wytłumaczyć — „*In vain she tried to explain it to her father*" — na próżno starała się wytłumaczyć to ojcu), „*to introduce*" (przedstawić — „*Daddy, may I introduce my teacher, professor X to you?*" — Tatusiu, mogę przedstawić tacie mego nauczyciela, profesora X?), „*to post*" (wysłać pocztą — „*Mary's father posted to me the fee for the first and last lesson*" — ojciec Mary wysłał mi pocztą honorarium za pierwszą i ostatnią lekcję).

Mała przestroga: do czasowników, które, mając do czynienia z przedmiotem bliższym, stale i zawsze kuplują się z przyimkiem „*for*", należy czasownik „*to do*". Niezmiernie często spotykasz, dr. A., zwrot: „*I will do that for you*" (Zrobię to dla pana). W pierwszej chwili jesteś skłonny przypuszczać, że kupiec, szewc, fryzjer, policjant itd. robią coś wyjątkowo dla ciebie, że to jakiś wysiłek z ich strony albo jakaś protekcja, jakaś wyjątkowa grzeczność w stosunku do ciebie, podczas gdy masz do czynienia ze zwykłym frazesem. Oni tak mówią do każdego. Nawet do cudzoziemca. Oddając ubranie do wyprasowania, prosisz krawca, by przy tej sposobności przyszył jakiś oderwany guzik a w odpowiedzi padają słowa: „*I'll do it for you, sir*".

I właśnie zapomni przyszyć ten guzik.

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

Skrzynka pocztowa

Szanowny Panie Redaktorze,

Zarówno „Polska Walcząca", jak i autorzy pisujący na ich łamach często są krytykowani, czy atakowani przez wychodzący w Londynie „Tygodnik Polski". Pozostawiamy zazwyczaj głosy te bez odpowiedzi i jest to słuszne. „Tygodnik Polski" nie jest ani reprezentantem szerszej opinii krajowej, ani nawet jakiegoś wyraźnego, choćby wrogiego kierunku politycznego. Taka sobie zwykła urzędówka, pełna panegiryków — czy paszkwili.

Wbrew tej zasadzie chcę jednak prosić Pana Redaktora o opublikowanie paru poniższych uwag. Ostatni numer „Tygodnika Polskiego" z dn. 1 września br. zawiera liczne cytaty z mego artykułu „Sytuacja i wnioski" (nr. 35 i 36), zaopatrzone w komentarze, wypaczające w sposób perfidny jego myśl przewodnią.

Uważam, że prasa polska na emigracji może swobodnie pisać o naszych problematach aktualnych. Nie powinniśmy się bać krytykowania swych własnych posunięć. Przyznając się śmiało do omyłek, zmniejszamy szanse popełnienia ich w przyszłości. Mój przegląd krytyczny miał te właśnie cele. Dla wszystkich, co artykuły moje przeczytali w całości, jasne jest, że poddałem krytyce niektóre założenia organizacyjne, jak też ośrodki dyspozycyjne. Nigdzie nie zakwestionowałem celowości emigracji, jej strony ideowej i słuszności dążeń zasadniczych, które były i są moimi osobistymi dążeniami.

Pisząc krytycznie o własnych sprawach musimy sobie uświadamiać, że zawsze jest możliwe podchwycenie pewnych ustępów i odpowiednie ich skomentowanie. Zrobił to, zgodnie ze swymi zwyczajami, „Tygodnik Polski". Nie sądzę, ażeby należało się tym zbytnio przejmować, żeby obawa takich wtórnych, drugorzędnych skutków mogła zmuszać nas do przemilczania istotnych zagadnień. Jesteśmy chyba wszyscy tutaj wyznawcami swobody słowa i żadne reakcje wewnętrzne czy zewnętrzne nie powinny osłabić nas w przekonaniu o wielkiej wartości tej zasady.

Łączę wyrazy szacunku i poważania,

Londyn, 16 września 1947

WITOLD ALMARSKI

© Musées de Grasse, Alpes-Maritimes

SZCZYPTA HYPTA

W JEDNOŚCI SIŁA ...

Rosja na Marshalla
z wrogością spoziera
widząc w nim — niesłusznie? —
złego war-mongera ...

I choć świat się cieszy,
że on, tak uparty,
zaczął grać stanowczo
i w otwarte karty,

Rosja ubolewa
„bo rozliczne masy
cierpią terror twardej
dollar-diplomacy" ...

I martwi się bardzo —
jedność diabli wzięli:
plan Marshalla miast łączyć
świat na bloki dzieli.

Mówcie tam, co chcecie —
ja nie kryję wcale,
— zgadzam się z Wyszyńskim
nie — z panem Marshallem:

Była Litwa, Łotwa
i Estonia była;
Rosja je zrównała,
w jedno zespoliła ...

Więc przyznacie chyba,
choćbyście nie chcieli,
— Rosja raczej scala
nie — jak Marshall — dzieli!!

J. HYPT

Pióra wieczne i naprawa zegarków z gwarancją
ASTE LTD.
62, Oxford Street, London, W.1.
I-sze piętro, drzwi nr 9.

LOS CZŁOWIEKA

zależy od ośmiu gruczołów

(ODMŁODZENIE GRUCZOŁÓW DOSTĘPNE JEST DLA KAŻDEGO)

WIEDZA WSPÓŁCZESNA zaznajomiła nas z istotą życia — z gruczołami. Odmładzanie gruczołów otwiera nowe horyzonty we wszelkich dziedzinach życia. Faktem jest, że cechy zarówno umysłowe jak i fizyczne, wzrost, waga usposobienie, zależne są od gruczołów **wewnętrznego wydzielania.** Funkcje gruczołów są od siebie niezależne, a razem wzięte tworzą cały system. Wydzieliny gruczołowe docierając przez system krwionośny do ośrodków energii umysłowej, fizycznej i płciowej, rządzą ich przejawami

WIEK CZŁOWIEKA jest „wiekiem jego gruczołów". Żywotność i samopoczucie zależą od jakości i zrównoważonego przypływu tych wydzielin. Tylko wtedy osiągamy pełnię sił, gdy gruczoły funkcjonują prawidłowo. Słabość jest wynikiem wadliwej równowagi lub niewystarczającej ilości wydzielin, te jednak mogą być uleczone przez Hormonoterapię.

PRZEDWCZESNE STARZENIE SIĘ, utrata energii i żywotności, osłabienie, zmęczenie, bezsenność, brak apetytu, bóle i ogólne niedomagania, osłabienie wzroku, wypadanie włosów, nerwowość, neurastenia, wyczerpanie umysłowe, nerwica żołądka, częściowy lub całkowity zanik sił męskich — wszystkie te symptomy dowodzą, że organizm przestał sprawnie pracować na skutek braku równowagi lub niewystarczającej ilości wydzielin, co może być łatwo usunięte za pomocą Hormonoterapii.

HORMONOTERAPIA, czyli leczenie gruczołowe jest wiedzą polegającą na odmładzaniu gruczołów. Działanie jej polega na wznawianiu sił żywotnych nie drogą sztucznej podniety lecz przez docieranie do źródła niedomagań fizycznych, umysłowych, nerwowych i płciowych. Hormonoterapia przywraca pełnię sił utraconych na skutek chorób, wieku lub nawet chronicznego osłabienia.

DLA KOBIET stosowanie Hormonoterapii okazało się zbawienne w leczeniu wielu zaburzeń organicznych, towarzyszących wiekowi przejściowemu.

JAK ZACZĄĆ ŻYCIE NA NOWO. British Glandular Products pragnie służyć swą wiedzą i długoletnim doświadczeniem. W razie rozpoznania któregokolwiek z powyżej opisanych niedomagań, a szczególnie w wypadkach, gdy próby innych metod zawiodły, prosimy zwracać się do nas. Wiemy, że możemy pomóc w odzyskaniu równowagi umysłowej, fizycznej i odzyskaniu męskości. Wiemy, gdyż pomogliśmy już wielu tysiącom. Prosimy wypełnić poniższy kupon i załączyć znaczek poczt. za 3d. a prześlemy naszą broszurę p.t. **„ISTOTA ŻYCIA".**

BRYTYJSKIE WYTWORY GRUCZOŁOWE

Do British Glandular Products, Ltd. (PWP), 907, 37, Chesham Place, London, S.W. 1.
Proszę o nadesłanie mi, bez zobowiązania: broszury p.t. „ISTOTA ŻYCIA" (znaczek poczt. za 3d. załączam) lub 100 TESTRONES Brand Tablets dla mężczyzn, 100 OVERONES Brand dla kobiet, załączam 10/- (niepotrzebne skreślić)

NAZWISKO .....

ADRES .....

SPIS RZECZY

STANISŁAW STROŃSKI. Pod ściankę sądu. — STANISŁAW KLINGA: Bezprzedmiotowa rewizja. — JÓZEF RELIDZYŃSKI: Ojczyzna. — ALEKSANDER BORAY: Przegląd tygodniowy. — TADEUSZ NALER: Polska pod okupacją. — „Nasz Znak" (Dodatek SPK). — MARIAN CZUCHNOWSKI: Noc pierwszego lutego. — ZYGMUNT NOWAKOWSKI: Kiedy wlazłeś między wrony ... — Szczypta HYPTA. — JERZY LERSKI: Pamiętnik polityka niepodległościowego. — Spróbuj ... — RAD: Anglia na codzień.—

Pamiętnik polityka niepodległościowego

„Światpol" wydał „Kartki z pamiętnika" ministra Jana Kwapińskiego pt.: „1939 — 1945". Są to lata naszej klęski politycznej. Pamiętnik Kwapińskiego obejmuje długi okres czasu od ostatnich dni przedwojennych po tragiczne chwile cofnięcia uznania Rządowi RP przez Aliantów zachodnich. Poprzez tajgi syberyjskie, jakuckie więzienie, Uzbekistan, kujbyszewską ambasadę prowadzi autor czytelnika via Archangielsk, Islandię, Szkocję do centrali Polskiego Kierownictwa do Londynu.

W tym miejscu zaczyna się najcenniejsza z historycznego punktu widzenia część książki. Jan Kwapiński tkwił od maja 1942 r. w centrum polityki polskiej. Był ministrem w trzech kolejnych rządach emigracyjnych: Władysława Sikorskiego, Stanisława Mikołajczyka i Tomasza Arciszewskiego. Mało jest więc ludzi równie powołanych do naświetlenia istoty naszej narodowej tragedii, owego ciągłego zsuwania się po równi pochyłej od chwili wejścia Sowietów do obozu Aliantów po dzień 6 lipca 1945 roku.

Należy tu wyraźnie przeprowadzić granicę pomiędzy dwoma okresami. Datą graniczną jest dzień powierzenia misji tworzenia rządu przez śp. Prezydenta Raczkiewicza Janowi Kwapińskiemu po przyjęciu rezygnacji Stanisława Mikołajczyka. Oznaczało to bowiem generalną zmianę polityki polskiej w sprawach sowieckich. Z niekończących się ustępstw wobec Rosji i ciągłego ulegania namowom zachodnich mężów stanu przeszliśmy zdecydowanie na politykę obrony interesów narodowych. Powołany wkrótce niepodległościowy rząd Arciszewskiego stanął twardo na gruncie nienaruszalności terytorium RP i niedyskutowania tych spraw przed konferencją pokojową. W ten sposób położony został kres szkodliwym złudzeniom, że tzw. kompromisowością w stosunku do Rosji można ugłaskać apetyty komunistów moskiewskich. Od tej chwili skończyły się też harce obcych agentur w polskich komórkach kierowniczych w Londynie.

Nie ulegało wątpliwości, że w ówczesnym okresie polityki Zachodu wobec Rosji był to pierwszy niezwykłego znaczenia krok odwagi politycznej. Było to jednocześnie rzucenie rękawicy całemu systemowi międzynarodowemu, którego niefortunnymi architektami obok świadomie planującego Stalina byli też niestety współtwórcy Teheranu, a później Jałty i Poczdamu — prezydent Roosevelt i premier Churchill. Automatycznie weszliśmy w konflikt z mocarstwami zachodnimi, pchającymi nas dla krótkowzrocznych, doraźnych celów w objęcia sowieckie. Nie ulegało więc wątpliwości, że dni żywota uznawanego Rządu Polskiego są policzone.

Dzień 6 lipca 1945 r. stał się na skutek decyzji Washingtonu i Londynu epilogiem naszego uznawanego kierownictwa politycznego. Należy żałować, że w przewidywaniu tego faktu tak mało uczyniono dla przygotowania podstaw społecznych i gospodarczych dla długofalowej, walczącej emigracji politycznej. Pamiętniki Kwapińskiego nie omawiają tego drażliwego tematu.

Poza tym książka jest szczera. Bez osłonek mówi o poziomie ośrodka londyńskiego. Po przeczytaniu jej czytelnik mniej dziwi się, że pozycja nasza ulegała ciągłemu pogorszeniu. Składają się na to niestety nie tylko przemożne przyczyny zewnętrzne, ale w dużej mierze tragiczne złudzenia i łatwowierność Sikorskiego, oraz przede wszystkim karygodne błędy Mikołajczyka. Jak się okazuje ten ostatni wiele posunięć robił zupełnie na własną rękę, ale co gorsza na rachunek Rządu. Takim typowym przykładem jest podjęcie w Moskwie rozmów z przedstawicielami agenturowego „Komitetu Wyzwolenia" z Bierutem na czele i to na domiar złego w gmachu dawnej ambasady polskiej w Moskwie. W ten sposób sam premier legalnego rządu pasował grupę uzurpatorów komunistycznych na poważną stronę polityczną. Drugim katastrofalnym w skutkach posunięciem było zejście ze stanowiska zatwierdzonego przez krajową, podziemną Radę Jedności Narodowej w sprawach granicznych. Stało się to przy okazji akceptowania propozycji amerykańskich, przywiezionych przez Harrimana.

Na tym właśnie tle nastąpił ostateczny podział na czynniki kapitulacyjne i niepodległościowe. Za Mikołajczykiem, który mimo półrocznych jeszcze wahań — widział w rezultacie rolę swoją jako czynnika przeciwstawiającego się komunizmowi w drodze legalnej działalności krajowej i jak to sobie wówczas naiwnie, bez elementarnej znajomości Rosji wyobrażał, poprzez swój udział w narzuconym rządzie i prawdopodobne zwycięstwo w obiecanych w Jałcie „demokratycznych i nieskrępowanych wyborach" — podążyli inni. Sprzymierzył się wówczas na terenie londyńskim z najpodlejszymi kreaturami i stuprocentowymi oportunistami w typie Paszkiewicza, Winiewicza, Stańczyka, Grossfelda, Hochfelda itp., którzy bardzo szybko opuścili go, przechodząc na całego do współpracy z komuną.

Korzystnie odbija na tym tle polityka Komitetu Zagranicznego Polskiej Partii Socjalistycznej, która posiadała w wielu krytycznych chwilach znaczenie decydujące. Zgodnie z wieloletnią tradycją niepodległościową instynkt państwowy nie zawodził naszych przywódców robotniczych. Mimo braku dalekoplanowego przewidywania w sprawach zasadniczych PPS brała na siebie ciężar odpowiedzialności za najważniejsze sprawy polityki polskiej.

Pamiętniki Kwapińskiego przepojone są tą głęboką troską o dobro Polski. Książkę jego obok historyków i działaczy politycznych przeczytać powinni przede wszystkim ludzie prości. Przy całej prostocie i bezpośredności stylu, przebija z książki dumna i pełna godności postawa człowieka, który już jako młody robotnik fabryczny życie swe poświęcił służbie Polsce. Poprzez katorgi i więzienia carskie, poprzez działalność w związkach zawodowych i w partii doszedł do wysokich godności posła na Sejm Polski, prezydenta Łodzi — drugiego co do wielkości miasta Rzeczypospolitej, a później wypadkami wojennymi wyniesiony został na stanowisko wicepremiera. Umiał on zachować styl autentycznego działacza robotniczego. Nie zawiódł nadziei pokładanych w nim przez polskie masy pracujące. Potrafił twardo stać na straży spraw Niepodległości i Całości.

JERZY LERSKI

ANGLIA NA CODZIEŃ

DOŃCIU PRACUJE NA ROLI

— „Rzucasz na mnie k o l u m n i e — zaczął Dońciu — że nie chcę pracować. Otóż właśnie powziąłem d i e c e z j ę — pracować na farmie".

— „Niech Bóg broni — odrzekłem — nie rzucam k o l u m n i a m i, bom nie Samson. Spisuję tylko ciekawostki z Twego obfitującego w przygody życia, żeby zapełnić moją k a l u m i e n k ę w „Polsce Walczącej". Ale cóż to za d i e c e z j a, proszę biskupa?"

— „Z prochuś powstał i w proch się obrócisz — wyjaśnił filozoficznie Dońciu, strzepując popiół z papierosa na podłogę — Adam został ulepiony z gliny a nie z węgla ani z żelaza, stąd wskazówka, że należy pracować na roli, a nie w kopalni węgla ani w hucie".

— „Stąd wskazówka chyba, że należy pracować w cegielni?" — usiłowałem wprowadzić poprawkę.

— „Głupiś — przypieczętował Dońciu — w cegielni nie ma *land-girls'ów*".

Teraz dopiero zrozumiałem motywy, jakie kierowały Dońciem w jego d i e c e z j i.

Land-girls. Kontakty Dońcia z rolnictwem na tym polu (był to właściwie zagajnik) datowały się od bardzo dawna. W czasie wojny, kiedy wszystkie skrawki ziemi wykorzystywano na produkcję zbóż i jarzyn, na lotnisku pracował cały zastęp *land-girls'ów*, a Dońciu wywalczył sobie w komitecie mesy stanowisko „doradcy w sprawach gospodarki warzywnej", co zobowiązywało go do inspekcji prac i pracownic. Obowiązki te wykonywał z nadspodziewaną gorliwością.

Kiedyś podczas inspekcji nadszedł niespodziewanie dowódca stacji. Dońciu opatrywał właśnie stłuczone kolano jednej z dziewcząt, co zasadniczo do jego obowiązków nie należało. Dla wyjaśnienia sytuacji Dońciu postanowił przedstawić dziewczę jako swą bratową. „Szwagier" po angielsku jest „*brother-in-law*", ale Dońciu nie rozróżniał wymowy „*law*" od „*low*":

— „*I am her brother-in-l o w, Sir*".

— „*Very low indeed*" — rzucił z niesmakiem dowódca.

Ale wróćmy w dzisiejsze czasy. Mimo stanowczej d i e c e z j i — praca Dońcia na roli nie trwała długo. Zaczęło się naturalnie od nieporozumień językowych. Farmer, chcąc dowiedzieć się, co Dońciu umie, zapytał:

— „*Can you sow?*" — Czy umiesz siać?

— „*Yes, I can s e w buttons*" pochwalił się Dońciu. Bo „*sow*" — siać i „*sew*" — szyć — wymawia się jednakowo. Trudno o to winić Dońcia. Ale farmer od razu się zniechęcił.

Wieczorem gospodarz zaszedł Dońcia w oborze, jak ten próbował bezskutecznie obrócić krowę na wznak. Zapytany o przyczynę szalonego pomysłu Dońciu wyjaśnił:

— „Żeby przez noc śmietanka zebrała się na wierzchu. W ten sposób rano nie trzeba mleka przepuszczać przez centryfugę, po prostu najpierw wydoimy śmietankę, a potem zbierane mleko. Słyszałem o tym sposobie przez radio".

Ale gospodarz zrezygnował z pomocy Dońcia. On sam zresztą, posiniaczony przez krowę, nie miał ochoty do dalszej pracy na farmie. Wrócił do mesy obolały, a ja bezlitośnie zauważyłem:

— „Możesz teraz powiedzieć o sobie: ja nie z roli, ale z tego, co mnie boli".

RAD

BARDZO NAM PRZYJEMNIE ...

Imiona i nazwiska tych trzech panienek kryją w sobie ich zawody. Jakie?

TEKLA KIROBI, B.A.
STANIA I. RZUSKA
ADELA GROTT-RIFIESKA

BRAKUJĄCA SYLABA

W poniższym zdaniu jedna sylaba trzyliterowa powtarza się sześć razy. Zastąpiona jest ona trzema iksami, a brakujące litery słów, w których występuje — kropkami. Co to za sylaba?

Pan xxx . . xxx zdecydował i

Spróbuj...

. . xxx . . . . . że wszystkie pojazdy, bez względu na xxx . czy rodzaj, będą xxx . . na placu koło xxx . . . . ratusza.

* * *

Rozwiązania wszystkich zadań należy przesłać do środy dnia 1.10.1947 (data stempla pocztowego) z podaniem nazwiska i dokładnego adresu. Koperty winny być adresowane do Redakcji „Polski Walczącej" (84, Hazlewell Rd., London, S.W.15) i zaopatrzone w wyraźny napis „SPRÓBUJ".

Za prawidłowe rozwiązanie zostanie przyznana nagroda w postaci cennej książki: w razie nadesłania kilku prawidłowych odpowiedzi — w drodze losowania.

Rozwiązania z tego numeru oraz nazwisko osoby nagrodzonej ukażą się w Nr. 40 „Polski Walczącej".

ROZWIĄZANIA ZADAŃ Z Nr. 36

REBUS: Reprezentacja.

PICCADILLY LINE: 36-ciu.

KRZYŻÓWKA: Pionowe: 4, Itd. 6, Betlejem. 7, Farmacja. 8, Sos. 10, Ser (res). 13, Kasandra. 15, Owidiusz. 16, Łoś. Pionowe: 1, Medale. 2, Olim. 3, Ajace. 4, Impas. 5, Drops. 9, Okrasa 10, Rafał. 11, Skroś. 12, Mińsk (ksnim). 14, Nein.

Książkę Józefa Conrada: „Szaleństwo Almayera" jako nagrodę za prawidłowe rozwiązanie wszystkich zadań otrzymała w wyniku losowania P. Anna Frąckiewicz, 73, Findhorn Place, Edinburgh 9.

Za prawidłowe rozwiązanie wszystkich zadań z Nr. 34 nagroda „zagraniczna" w postaci książek „Pierwszy skok" i „Murzyn z załogi Narcyza" została przyznana P. Wł. Odrowąż-Łaniewskiemu rua Rodrigo da Fonseca 109, 3E Lizbona, Portugalia.

REBUS

KSIĘGARNIE POLSKIE
„ORBIS"
LONDYN, 38 Knightsbridge SW. 1. tel. SLOane 2791
EDINBURGH, 31 a Castle Street tel. 24705
Otwarte codziennie do 6-tej w soboty do 5-tej
Wielki wybór książek i czasopism, podręczników do nauki języków, słowników, podręczników technicznych i zawodowych.
DZIAŁ ODZNACZEŃ WOJSKOWYCH
Zamówienia pocztowe wykonywane są natychmiast.

Podręczniki
dla szkół powszechnych, dla gimnazjum i liceum, techn., handl., rolnicze, beletrystrykę, książki dla dzieci oraz nowości wydawnicze poleca
CENTRALNA SKŁADNICA KSIĄŻEK STOWARZYSZENIA POLSKICH KOMBATANTÓW
17, RANDOLPH Crescent, LONDON, W. 9.
Telefon: CUNingham 3355
Zamówienia wykonujemy odwrotnie. — Wysyłamy na żądanie katalogi.

EDYNBURG
KSIĘGARNIA POLSKA
„CO SŁYCHAĆ"
2, DRUMSHEUGH PLACE
EDINBURGH Tel. 21712
(obok kościoła polskiego)
Poleca wielki wybór książek polskich i angielskich, podręczniki szkolne i techniczne, słowniki i nauka języków.
Baretki, odznaki i dystynkcje wojskowe. Materiały piśmienne i rysunkowe. Podarki i pamiątki.
Wykonujemy wszelkie roboty drukarskie, przepisywanie na maszynie i powielanie oraz tłumaczenia w różnych językach.
Na żądanie wysyłamy katalogi i cenniki.

WYDAJE "FIGHTING POLAND" TRUST
Adres Redakcji (Editorial Offices): 84, Hazlewell Road, London S.W. 15. Tel. PUTney 1273.
(w poniedziałki i wtorki: Tel. SLOUGH 21230)
Redaktor przyjmuje w środy w godzinach 12—13.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: (z przesyłką pocztową) w Wielkiej Brytanii kwartalnie 8 sh., w U.S.A. i Kanadzie miesięcznie 35 c., kwartalnie $1.00 c.
Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na "FIGHTING POLAND TRUST" pod adresem Administracji.
Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — £1 10 s., ($5). Zarezerwowane miejsce 50 proc. drożej. Ogłoszenia na pierwszej stronie w miarę wolnego miejsca o 100 proc. drożej. Ogłoszenia drobne: jednokrotne 9d. za słowo, dwukrotne 1sh. za słowo, trzykrotne 1sh. 6d. za słowo. Poszukiwanie i zaofiarowanie pracy: jednokrotne 6d., dwukrotne 9d., trzykrotne 1sh. za słowo.
Poszukiwania osób rodzin wojskowych bezpłatnie w miarę wolnego miejsca.
Adres Administracji: 160 Earls Court Road, London, S. W. 5. Tel. FRObisher 3881.

POSZUKIWANIA RODZIN

Władysław STRZELECKI, por. W.P., pracownik linii okrętowych, podczas wojny przebywający w Anglii, poszukiwany przez H. Tabaczyńskiego — 8185, Knodell Str., Detroit, Michigan, U.S.A.

DRZEWNIK-SPECJALISTA
z udziałem £ 1.000 potrzebny od zaraz. Zgłoszenia wraz z podaniem kwalifikacji kierować do: Mallor CO Ltd., Vincent House, Vincent Square, London S.W.1.

UCZCIE SIĘ ANGIELSKIEGO TERAZ
Kursy elementarne, średnie i dla zaawansowanych, przygotowania do wszystkich egzaminów, nauka wymowy.
Od godz. 9 rano do 9 wieczór.
THE LONDON SCHOOL OF ENGLISH
319, Oxford Street, London, W.1.
Tel. MAY 2120
Nauczamy wszystkich języków.

Printed in England for „Polska Walcząca" by Groves, Brodie & Co., Ltd. The Windsor Press, Trading Estate, Slough, Bucks. Registered at the G.P.O. as a Newspaper

© Musées de Grasse, Alpes-Maritimes